Rok III. Kraków, dnia 5 i 20 Grudnia 1884 r. Nr. 23. i 24.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

PRZEKŁADY i NAŚLADOWANIA.

z

NIEMIECKIEJ LIRYKI.

Panu K. B.
c. k. dyrektorowi humoru polskiego
w dowód szacunku i poważania.

I.

(Z Platena: Sonette aus Venedig).

Wenecjo! Oto krajem stałaś się marzenia...
Z przeszłości twej pozostał cień ledwo widziany;
Lew Rzeczypospolitej leży roztrzaskany
I pustką świecą gmachów ponure więziemia...

Te spiżowe rumaki, które mórz głębina
Na grzbietach fal przewiozła — twej świątyni chwała —
Dziś już nie są te same, bo je nadpsowała
Potężnego zwycięzcy dłoń — Korsykanina!..

Gdzież naród — królewskiego pełen majestatu,
Który stawił te gmachy z marmuru wspaniałe,
Grożące dziś zgliszczami i ruiną świata?..

Rzadko dziś ci przypomni — w wnuków pokoleniu
Szlachetny blask oblicza — wielkich przodków chwałę:
Rysy *Dożów* zostały zaklęte — w kamieniu!..

II.

(Z Platena: Sonette aus Venedig).

Rozkoszą zda się ziemia upojona cała,
Lekki Zefir łagodnie powietrzem kołysze,
Chłód wieje i zamąca sal tych niemą ciszą,
Gdzie wesołość z radością zwykle panowała...

Wielkość Wenecji wbrew woli wieków się rozchwiała —
Ach! bo szczęścia wstecznego łuku nie opisze...
Oto statków się kilka w zatoce kołysze,
Kędy Riva Sclavonów ciągnie się wspaniała...

Wenecjo! Olśniewałaś blaskiem majestatu,
Jako dumna niewiasta — złota tkaninami;
Taką mistrz Veronese przedstawił cię światu —

Dziś wśród kolumn pałaców twych patrzę do koła
I cło oblicza — narodu zapłacone łzami —
Którego żadna sława zapłacić nie zdoła!..

III.

(Z pieśni Bodenstedt'a).

Szeroko świeci słońce,
Blask w drżących falach tonie
I morze barwą tęczy
Migoce wciąż i płonie...

Ach! W piosnek moich morzu
Twarz twoja lśni — jak słońce,
Więc płonę — barwą tęczy,
Jak fale morza drżące...

IV.

Stara baśń (z Heine'go).

Żył raz bardzo stary król,
Z skrzepłem sercem, siwą brodą —
I ten biedny, stary król
Pojął żonę — bardzo młodą...

A był znowu młody — paź,
Z jasnym włosem, kształtną głową —
I ten młody, ładny paź
Nosił ogon za królową...

Znasz-że ową starą pieśń?
Raz brzmi słodko — to się żali...
Ach! Obojga spotkał zgon,
Bo — zanadto się kochali...

V.

OSTATNIE SŁOWA.

(Sonet z Körnera).

Rana pali... zsiniałe drgają z bólu wargi —
Uczuwam coraz słabsze mego serca bicie
I ze spokojem patrzę na gasnące życie,
Które Bogu polecam — bez żalu i skargi...

Wiele snów złotych moje widziały powieki —
Za sennem widmem szczęścia cicha łza popłynie...
Lecz com w sercu przechował w śmiertelnej godzinie,
To w przyszłem życiu musi żyć ze mną — na wieki!..

Bo co na ziemi dla mnie stało się świętością,
Com ukochał z młodzieńczą wiarą i ufnością,
Bez względu, czy swobodą było, czy miłością —

Z jasną twarzą anioła dziś wstaje z ukrycia...
Więc w chwili, gdy nie będę już czuł serca bicia —
Na skrzydłach śmierci wzlecę — do jutrzenki życia!..

Zwiniacz w Grudniu 1884.

Edmund Rossowski.

HENRYK HEINE.

PORTRET LITERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

I jako dramaturg nie pozostawił po sobie Heine żadnego utworu wartości pierwszorzędnej. Jego dwie t. z. tragedye «Almanzor» (1820—1821) i «William Ratcliff» (1822) nie przeszły do potomności, choć młodziuchny ich autor prawił o drugiej, że: on i imię jego przeminą, ale pieśń ta musi przetrwać wiecznie.

Ich und mein Name werden untergehen
Doch dieses Buch muss ewiglich bestehen.
(Dedykacya dla Rudolfa Christiani'ego.)

Imię jego nie przeminęło, a o tragedyach nie mówi dziś nikt, okrom historyka literatury.

«W kwitnącem niegdyś państwie maurów żyje dwóch przyjaciół: dumny, porywczy Abdullah i łagodny, dobry Aly. Pierwszemu urodziła się córka, drugiemu syn. Lecz Alemu przypomina mały Almanzor matkę, której śmierć spowodowało życie chłopczyka, przeto prosi Abdullę: weź dziecię moje i chowaj je dopotąd, dopóki się żal mój nie utuli, a mnie oddaj na ten czas swoję Sulejmę, abym miał osłodę, gdy mnie smutek w swe zimne pochwyci objęcia. Ponieważ się Abdullah nie opiera życzeniu przyjaciela, wymieniają ojcowie swe dzieci, postanawiając nadto złączyć je z sobą, gdy dorosną, dozgonnym węzłem małżeńskim.

Nie wiedząc nic ani o zamianie, ani o postanowieniu rodziców, chowają się dzieci w sąsiedztwie, na zamkach swych przybranych ojców, przywięzując się do siebie z każdym dniem więcej.

Wtem zrywa się nad maurami wielka burza. Król Ferdynand «katolicki» ciągnie przeciw najezdcom arabskim, poduszczony przez swą małżonkę, donnę Izabellę. I pada Grenada, stolica «niewiernych», a zwycięzcy wołają: krzyż albo śmierć! Lękliwsi, lub łagodniejszego serca przyjmują chrzest, gwałtowniejsi, albo dumniejsi przenoszą dobrowolne wygnanie nad upokorzenie się przed Bogiem giaurów. Do pierwszych należy Aly, do drugich Abdullah.

Aly zostaje z całą swą rodziną i służbą chrześcianinem, a namiętny Abdullah zabiera koran i wraca przez Gibraltar do Afryki. W pierwszej chwili chce Almanzora zabić, mszcząc się w synu na ojcu, na Alym którego o to posądza, że przymusi jego córkę, Sulejmę, do «odstępstwa», jak nazywa postępek mniej zapalczywego przyjaciela. Później jednak namyśla się i uprowadza z sobą chłopczyka. Zemszczę się najlepiej na zdrajcy, wychowując jego dziecko w wierze Mahometa.

Mijają lata. Wśród puszcz i oaz Arabii umiera Abdullah, a dawny druh jego, Aly, z Hiszpanii możnym panem. Przez całe życie chowa Abdullah w swem mściwem sercu żal do swego dziecka, miłej Sulejmy, łagodniejąc dopiero na łożu śmierci. Wprawdzie przecina zgon jego słowa, lecz Almanzor domyślił się z urwanych, chrapliwych dźwięków, wydobywających się z gardła konającego, że nieboszczyk przebaczył «odstępczyni».

Ponieważ go i żona Abdulli, a jego domniemana matka, Fatyma, błagała w ostatniej godzinie, aby zaniósł Sulejmie jej pocałunek i błogosławieństwo, przeto wraca Almanzor do Hiszpanii, a czyni to tym spieszniej, tym chętniej, że i jego pcha jakaś potężna siła do pięknej wychowanki Alego.»

Wypadków tych, które tworzą wstęp do pierwszej tragedyi Heine'go, dowiaduje się czytelnik w ciągu czynności. Sam dramat rozpoczyna się z powrotem Almanzora do dawnego maurów królestwa.

«Runął zamek Abdulli. Szczątki jego zaczynają się już rozsypywać. Nikt nie wychodzi na przyjęcie młodego dziecka, które błądzi po komnatach, w hiszpański przebrane strój. Możeby nie dotarł do swej kołyski, gdyby nie zachował tej ostrożności.

Wesoły i głośny niegdyś dworzec, stoi dziś pustkami. Tylko sowy odpowiadają na wołanie Almanzora. Oprócz ptactwa nocnego, usłała tu swe ukryte przed okiem hiszpanów gniazdo garść maurów, gromadka nieugiętych, nieustraszonych muzułmanów, którzy prowadzą ciągłą wojnę z chrześcianami. Stary sługa Abdulli, Hassan, jest dowodcą tych śmiałków.

Kilku z nich wpada do zamku, a nie poznawszy Almanzora, pytają go: jakiem prawem, cudzoziemcze, wstąpiłeś w progi naszego schroniska? Pytanie należy do mnie — odpowiada Almanzor — zamek jest moją własnością, a ten to świadek (wskazuje na swój miecz) wypisze czerwonemi znakami prawa moje na waszej skorze.

Więc walczą. Na Almanzora uderza zrazu dowódzca, który tymczasem nadszedł. I byłby wychowanek Abdulli uległ przemocy, gdyby Hassan nie dostrzegł jego twarzy.

Allach, to Almanzor ben Abdullah! — woła stary sługa i rzuca się do nóg wędrowca.»

W dyalogu, toczącym się między Almanzorem i Hassanem, wypowiada autor pewną część przytoczonego powyżej wstępu.

«Gdy wychowaniec Abdulli oświadcza staremu, że wrócił do Hiszpanii, aby wykonać ostatnią wolę Fatymy, wtedy odradza mu Hassan namiętnie: nie chodź do zamku Alego! Jak przed miejscem zapowietrzonem, uciekaj przed owym domem, w którym nowa kiełkuje wiara. Tam bowiem wciągną ci z głębokiej piersi stare twe serce kleszczami słodkich słówek i włożą ci żmiję zamiast niego. Tam wyleją na biedną głowę twoją jasny, gorący roztopiony, ołów, iż mózg twój nie wyzdrowieje nigdy z boleści szaleństwa. Tam przemienią ci stare imię twoje i dadzą ci nowe, aby się anioł twój daremnie trudził, gdyby cię przestrzegał, wołając na ciebie po dawnemu. O, nie chodź do zamku Alego.

Geh nicht nach Aly's Schloss! Pest-Orten gleich
Flieh jenes Haus, wo neuer Glaube keimt.
Dort zieht man dir mit süssen Zangentoenen
Aus tiefer Brust herfor das alte Herz,
Und legt dir eine Schlang' dafür hinein.
Dort giesst man dir Bleitropfen, hell und heiss,
Auf's arme Haupt, dass nimmermehr dein Hirn
Gesunden kann vom wilden Wahnsinnschmerz.
Dorten vertauscht man dir den alten Namen,
Und giebt dir einen neuen, damit dein Engel,
Wenn er dich warnend ruft beim alten Namen,
Vergeblich rufe.

(Tom XVI., str. 27).

Lecz słowa Hassana nie odwodzą Almanzora od wykonania zamiaru, z którym przybył do Hiszpanji. Mimo próźb i zaklinań starego sługi, udaje się do zamku Alego.

Noc! Almanzor stoi przed domem swego prawdziwego ojca i lamentuje. Bo wewnątrz grzmi kapela i rozlega się wesele. To przeddzień ślubu Sulejmy. Jutro odda piękna córka Abdulli białą swą dłoń donowi Enrique, bo ona nie wie, że Almanzor żyje. Jacyś kupcy przynieśli z obcych krajów wieść o jego śmierci.

Almanzor stuka do bramy. Otwórzcie, otwórzcie! zmęczony podróżny prosi o nocleg! Lecz sługa Alego, Pedrillo, odmawia wędrowcowi spoczynku pod dachem swego pana, bo «stara go-

ścinność jest jednym z owych obyczajów pogańskich, z którego oczyszczono ten pobożny dom chrześciański» (str. 39).

Nawróć, pielgrzymie, — skarży się Almanzor — bo tu nie mieszka już dobry Aly i stara gościnność; nawróć, o muzułmaninie, bo stara wiara uszła dawno z tego domu; nawróć, Almanzorze, bo wypchnięto ztąd z szyderstwem starą miłość i wyśmiano głośno jej ciche, konające jęki. Zmieniły się imiona i ludzie. Co się niegdyś miłością nazywało, zowie się teraz nienawiścią (str. 39).

Więc stanął na uboczu i przypatruje się gościom, którzy wychodzą z zamku po zabawie. Dopiero, kiedy cisza zaległa wokoło, wtedy podkrada się pod okno Sulejmy i wydobywszy lutnię, śpiewa pewną pieśń.

Pieśń i głos poznała dziewczyna.»

W rozmowę między nią i Almanzorem wsuwa autor drugą część opowiedzianego już wstępu.

«Nazajutrz spotyka się Almanzor z Sulejmą w ogrodzie. Przybrana córka Alego wyznaje mu, że go dotąd kocha. Gorliwą będąc katoliczką, chce i towarzysza swych lat dziecięcych nawrócić do wiary, którą przyjęła. On zgadza się na to, byle mu ona swej miłości nie odmówiła.

Lecz wtem odzywa się głos dzwonów. «Czy słyszysz Almanzorze, — mówi Sulejma — co te dzwony szepczą? One szepczą ponuro: «Sulejma poślubi człowieka, który się nie nazywa Almanzor» (str. 61).

«Młody maur dostaje wskutek tego napadu szaleństwa. Błądzi po lesie, kładzie się w końcu w trawę pod drzewo i płacze: «Jestem bardzo zmęczony i chory, a nawet chorszy niż chory, bo, ach! najgorszą chorobą jest życie. Tylko śmierć może tą niemoc wyleczyć». (str. 57). I byłby się tem lekarstwem posłużył, gdyby się Hassan, który się zjawia i prawi: któż ci broni posiąść Sulejmę? Weź ją sobie, a będziesz ją miał.

Pomysł ten wraca zrozpaczonemu młodzieńcowi świadomość. Prawda, od czego jest miecz.

Almanzor staje na czele bandy Hassana i napada na zamek Alego w dzień ślubu. Zabrawszy sobie Sulejmę, ucieka z nią między skały i urwiska; lecz gdy go tu hiszpanie dopędzają, rzuca się z ukochaną w przepaść.

Tymczasem dowiedział się Aly od umierającego Hassana: kim jest ów przebrany maur. Biegnie za ścigającymi, aby syna ocalić, a gdy przyszedł zapóźno, rozpacza, oskarżając Boga: teraz, Jezu Chryste, potrzebuję twego słowa i twej łaskawej pociechy i twego przykładu. Nie mogę wprawdzie rozumem swoim ogarnąć woli wszechmocnej, lecz przeczucie mówi mi, że kędy ma w dumnym majestacie przejść złocisty, zwycięzki wóz Boga, tam musi zmarnieć lilia i myrta»

Jetzt, Jesu Christ, bedarf ich deines Wortes,
Und deines Gnadentrosts und deines Bleispiels,
Der Allmacht Willen kann ich nicht begreifen,
Doch Ahnung sagt mir: ausgereutet wird
Die Lielie und die Myrte auf dem Weg,
Worüber Gottes goldner Liebeswagen
Hinrollen soll in stolzer Majestät.
(tom XVI, str. 90).

Już osnowa «Almanzora» dowodzi, jak wielki wpływ wywarł romantyzm na umysł Heine'go. I romantycy brali bowiem chętnie swe pomysły nietylko z czasów rycerstwa niemieckiego, lecz także i z Arabii, z Indyi, szukając przedewszystkiem poetycznych dekoracyj. I oni kochali się w bajkach tajemniczych, zawikłanych, aby mogli wyobraźni popuścić wodze.

Treść «Almanzora» z wymianą dzieci, z opuszczonem zamczyskiem, zamieszkałem przez puszczyków i rozbitków arabskich, z skałami, urwiskami itd. odpowiada zupełnie wyobrażeniom romantyków, którym, szło zawsze więcej o barwność aniżeli o prawdę.

Lecz i w wykonaniu samej czynności jest Heine w «Almanzorze», na wskroś romantykiem. Prawie każda scena odbywa się na innem miejscu, choć autor przeznaczył tę pracę do użytku praktycznego, zapomniawszy, że żaden teatr nie może w jednym akcie zmienić ośm razy kulis.

Charakterem romantycznym jest także sam bohater. Człowiek, który przemawia na wstępie, jak prawdziwy mężczyzna (a ten oto świadek wypisze prawa moje czerwonemi głoskami na waszej skórze), staje się w dalszym ciągu płaczliwym, słabym i rozkochanym, jak chora niewiasta. Zamiast zawrzeć gniewem przeciwko współzawodnikowi, zamiast wziąść sobie po prostu kochankę, jak powinien każdy bohater dramatyczny, załamuje ręce, rozpacza i lamentuje. Almanzor w tragedji Heinego nie jest mężem hartownym, nie jest charakterem i dlatego nie może wpłynąć na czynność dramatu. Rzeczywiście też czyni w tragedyi tylko piechur utworu, bo jedyny Hassan. A czemże dramat bez czynności?

«Almanzor» nie jest dramatem. Jest to poemat romantyczny w formie dyalogu, mięszanina epiki i liryki, urozmaicona kilku scenami dramatycznemi. Wiedział o tem sam Heine, gdy pisał w rymowanej przedmowie do tej tragedyi: Jest to praca w połowie epiczna i w połowie drastyczna, przepleciona tu i ówdzie niejednem delikatnem kwieciem lirycznem.

...Es ist halb episch und halb drastisch,
Dazwischen blüht manch lyrisch zarte Blüthe.
(tom XVI, str. 14).

Zdaje się więc, że autor naśladował z pełną świadomością kapryśne wzory romantyków, co tym więcej zadziwia, że prawie na ten sam czas przypada jego znakomita ocena tragedyi Smets'a (jak wyżej), w której młody krytyk stoi na stanowisku Lessinga i zna bardzo dobrze prawidła techniki dramatycznej.

Z osnowy «Almanzora» nie było trudno zrobić potężnej tragedyi. Wystarczało uczynić głównego bohatera przedstawjcielem owych rozbitków arabskich, którzy nie chcą się ukorzyć przed krzyżem, a byłby prawdziwym charakterem drastycznym. Lecz w takim razie musiałby dumny, nieugięty, waleczny maur być także fanatykiem religijnym, a tego nie życzył widocznie sobie młodziuchny Heine, występujący i w tej tragedyi jako urodzony wróg religii pozytywnych w ogóle, a po szczególe chrześciaństwa.

Już na samym wstępie uśmiecha się Almanzor, gdy Hassan wywołuje przeciw strojowi hiszpańskiemu: Jesteś jeszcze starym, zaciekłym Hassanem, który się przywiązał do barw i do form.

Du bist der alte Eifrer Hassan noch,
Und klebst noch fest an Farben und an Formen.
(tom XVI, str. 19).

Ta pogarda «form i barw» wraca ciągle w dramacie, aż zaostrza się przy samym końcu w bluźnierstwo (Teraz, Jezu Chryste itd.). Ta pogarda, raczej nienawiść, głownie do chrześciaństwa, zieje z słów Hassana (Nie chodź do zamku Alego itd.) i powtarza się w ciągu osnowy bardzo często.

«Myrt umarł — mówi Sulejma — a na grobie jego posadzono smutny cyprys».

Die Myrte starb, und auf das Grab der Myrte
Hat man gepflanzt die traurige Cypresse.
(tom XVI, str. 54).

A pięć stronnic dalej: «Ziemia jest wielką Golgotą.»

Die Erde eist ein grosses Golgotha.
(str, 59).

Luźne, tu i ówdzie rozrzucone uwagi, wyraża Heine jaśniej, przy końcu, gdy woła przez usta Alego: Lecz przeczucie mówi mi, że kędy ma w dumnym majestacie przejść złocisty, zwycięzki wóz Boga, tam musi zmarnieć lilia i myrt. Co znaczy: wiara pozytywna jest wrogiem wszelkiej uciechy, wszelkiego szczęścia doczesnego, bo żąda tylko rezygnacyi.

W orzeczeniu tem był jużHeine takim samym skrajnym bezwyznaniowcem, jakim się okazał kilkanaście lat później w «Przyczynku,» nie żąda bowiem usunięcia pewnych dogmatów lub ceremonij, lecz zaczepia wprost samą istotę wszelkich religij monoteistycznych... Boga. I jego późniejszy «kultus ciała,» jego rzekomy helenizm wyziera także z pod barwnych splotów dykcyi i obrazów romantycznych.

A w drugiej tragedyi Heinego, napisanej zaraz po pierwszej, w «Williamie Ratcliffie» (tom XVI.), spotyknmy już ślady trzeciego wybitnego rysu jego oblicza autorskiego. William wygłasza bowiem w scenie VI. zasady komunistyczne, jakbyśmy się dziś wyrazili.

Jak «Almanzor», tak ogarnia i «Ratcliff» losy dwóch pokoleń.

«Piękna Betty (*Schön-Betty*) kochała się w Edwardzie Ratcliff'ie, gwałtownego usposobienia młodzieńcu. Przeraziwszy się pewnego razu dziwacznością swego lubego, postanowiła z nim zerwać na zawsze. Wyszła też rzeczywiście za innego, za Mac-Gregora. I Edward ożenił się z inną, z córką lorda Campbell'a. Lecz stara miłość nie rdzewieje. Przypomniał sobie dziki Edward piękną Betty, zatęskniła i piękna Betty za namiętnym Edwardem. Ona stała w oknie i płakała; on skradał się pod jej zamek i przepędzał tam całe noce. Spostrzegł to Mac Gregor i zabił Edwarda.

Córką pięknej Betty jest piękna Marya, a synem gwałtownego Edwarda jest równie gwałtowny William. Pewnego razu zawitał młody Ratcliff jako student do zamku Mac-Gregora i rozkochał się w pięknej Maryi. I ona rozmiłowała się w nim. Lecz gdy się jej stanowczo oświadczył, odmówiła mu swej ręki.

William płakał, lamentował, jak Almanzor, potem szumiał, hulał, wiódł życie niesłychanie rozwiozłe, a gdy stracił całe swe mienie, dosiadł konia i pojechał na drogi rozstajne. Niebawem zasłynął jako głośny rozbójnik. Oprócz rzemiosła, które nie znosi światła dziennego, wiódł William jeszcze inne. Oto wyzywał każdego konkurenta Maryi na pojedynek i zabijał go. W ten sposób wyprawił już dwóch na drugi świat. Bo jakaś siła tajemnicza, jakieś istoty nadziemskie każą mu tak czynić. On widzi je — mgliste, powiewne, on słyszy ich głosy — ponure i grobowe. Są to duchy pięknej Betty i Edwarda, ale o tem nie wie William, który nie zna nawet historyi swego ojca».

Powyższe dane są wstępem do tragedyi. Tak samo, jak w «Almanzorze,» wsuwa Heine w «Ratcliff'ie» długie opowiadanie w dyalog dramatu, osłabiając z góry czynność zbytkiem scen epicznych.

«Po śmierci dwóch pierwszych zgłasza się o rękę Maryi trzeci konkurent, hrabia Douglas. Zrękowinami Douglasa i Maryi rozpoczyna się dramat. Podczas kiedy Mac-Gregor rozmawia z swym przyszłym zięciem, odzywa się z kąta stara, napół obłąkana Małgorzata, sługa zmarłej Betty. «Dlaczego miecz twój sączy tak krwią, Edwardzie, Edwardzie?« śpiewa waryatka. Słowa te przypominają Mac-Gregorowi jego stosunek do Ratcliff'ów, a ponieważ nie życzy sobie, aby i ten konkurent zginął przed dokonanym ślubem, przeto objaśnia Douglasa o losie przeszłych i wymienia nazwisko mordercy. Lecz hrabia nie obawia się zabójcy swych poprzedników. Przeciwnie, pragnie się z nim zmierzyć (str. 103, III. scena, monolog). W scenie IV. przystępuje też do niego rzeczywiście posłaniec Williama, Lesley, i przynosi mu wyzwanie.»

Scena V. rozgrywa się w karczmie, w kryjówce złodziejów i rabusiów. Tak samo następne: VI. VII, VIII, IX i X.

W scenie VIII. rozwięzuje autor w dyalogu między Williamem a Lesley'em tajemniczy, kilkakroć splątany węzeł tragedyi.

«Powiedz że mi, pyta się Lesley, co tobie Douglas zrobił, że nastajesz na jego życie? — Nie widziałem go nigdy, nie mówiłem z nim nigdy, nie zrobił mi on nic złego, wcale go też nie nienawidzę, odpowiada Ratcliff. — A mimo to chcesz dni jego skrócić? Czyś oszalał? — Biada tobie, gdybyś takie zrozumiał rzeczy, prawi William. Biada twojej czaszce, bo pękłaby wtedy, a z dziur jej wyglądałoby szaleństwo... Bo wiedz, że są jakieś straszliwie dziwne potęgi, które mną rządzą. Jakieś nieznane siły powodują moją wolą i mojem ramieniem, popychając mnie do czynu. Owiewały mnie one złowrogo już w wieku dziecięcym.»

Es giebt entsetzlich seltsame Gewalten,
Die mich beherrschen; dunkle Mächte giebt's,
Die meinen Willen lenken, die mich treiben
Zu jeder That, die meinen Arm regieren,
Und die schon in der Kindheit mich umschaurten.
(tom XVI. str. 111).

«Bo już jako chłopiec widywał William, gdy się samotnie bawił, dwie mgliste postacie, wyciągające do siebie tęskne ramiona, a nie mogące się objąć. Te same postacie stawały także przed nim we śnie. One to walczyły za niego, gdy się potykał z konkurentami Maryi.

Lecz tym razem nie zdołały mu pomódz, kiedy go w scenie XII. hrabia Douglas powalił na ziemię. Uderzcie, uderzcie, woła William, jestem waszym największym wrogiem! Ale narzeczony Maryi nie kąpie swego miecza w krwi jego serca, tylko mówi: «Poznaliście teraz miecz Douglasa... Mniemam, że mnie już dobrze znacie; może lekcya, której wam udzieliłem, poprawi wasze złe serce». William ocalił kiedyś Douglasowi życie. Hrabia poznał w wyzywającym swego wybawcę i odwzajemnił się. Skwitowaliśmy się, wyrzekł, i odszedł dumnym krokiem.

Lekcya nie poskutkowała! Bo jakżeż miała skutkować, kiedy się owe mgliste postacie... nie mogły jeszcze objąć?

Ranny William podnosi się z ziemi i wlecze się do zamku Mac Gregor'a. Zakradłszy się do komnaty Maryi, odbiera jej i sobie życie. Owe postacie zjawiają się, i obejmują się dopiero teraz w gorącym, namiętnym uścisku (scena XV).

Daleko więcej, niż «Almanzor«, dowodzi «William Ratcliff,» że Heine był zrazu bardzo posłusznym uczniem swych mistrzów romantycznych. Bo w «Amlanzorze» widać jeszcze jakieś tło historyczne, jakąś prawdziwą podstawę, a w «Ratcliffie» jest już cała osnowa wytworem nie wyobraźni poetyckiej, lecz wprost kaprysem rozdziwaczonej fantastyczności. Te same mgliste postacie, pobudzające ludzi żywych do czynu, spotykamy w najpotworniejszej odrośli romantyzmu niemieckiego, w tragedyi fatalistycznej. *Flieh die düstere Macht*, uciekaj przed złowrogą potęgą! wołają wszyscy dramaturdzy owego czasu za przykładem Zacharyasza Wernera («Dwudziesty czwarty luty»). Stare, usunięte przez chrześciaństwo *fatum* greckie pokutuje już w ostatnich tragedyach Schiller'a («Oblubienica messyńska»), a straszy widzów teatralnych z licznych «robót» romantycznych (Grillparzer, Werner, Houwald, Immermann itd. Na scenie nie działają między rokiem 1810—1825 ludzie z tego świata, lecz duchy, wychodzące z grobów, i klątwy i różne inne tajemniczości.

I w «Williamie Ratcliffie» Heine'go nie czyni właściwie sam bohater, tylko owe mgliste, powiewne postacie. William morduje

konkurentów Maryi, bo musi, bo nie może inaczej. Jest on tylko bezwolnem narzędziem w ręku nieznanych i ukrytych sił i dlatego nie zasługuje na nazwę charakteru dramatycznego. A czemże tragedya, w której główny bochater nie czyni nic z świadomością?

Pominąwszy tę zasadniczą wadę, szukamy w drugiej tragedyi Heinego daremnie istoty dramatu, czyli rozwijającej się stopniowo czynności. Autor każe się czytelnikowi i widzowi domyślać przyczyn ostatecznej sytuacyi. Sposobem epicznym w ciągu akcyi wygłoszony wstęp, nie zapełnia braku: założenia (akt I.), postępującej czynności (akt II.), scen kulminacyjnych (akt III.) i spadającej akcyi akt IV.). «William Ratcliff» jest tylko katastrofą, tylko aktem piątym, prawidłowo zbudowanego dramatu.

Choć Heine pragnął w swej drugiej tragedyi uwzględnić warunki sceniczne, zmienił jednakże i tu w ramach jednego aktu kulisy aż cztery razy.

Tak samo, jak z «Almanzora,» stworzyłby każdy prawdziwy dramaturg i z osnowy «Ratcliffa» potężną, wzruszającą tragedyę. Dość było, usunąwszy «cudowności i nadprzyrodzoności», zapalić serce Williama prawdziwą miłością. Lecz i nieopatrzny kochanek musi w swą namiętność wierzyć, musi być charakterem, postacią dodatnią w rozumieniu dramatycznem, a Heine umiał tylko przeczyć. William godzący na życie każdego konkurenta Maryi, odzywa się do Lesley'a następnie: Niech ci się nie zdaje, żebym był młodym bohaterem, błądzącym po księżycu, lub za widziadłami goniącym myśliwym, którego jego własny chart, jego własna fantazya pędzi przez noc i piekło; albo suchotniczym, na żołądek poetą, kochającym się grzesznie w gwiazdach, który zapada z rozczulenia na bol brzucha, gdy słyszy śpiew słowików, który sobie z własnych westchnień splata drabinę, a wiesza się w końcu na filarze swej sławy na powrozie ukręconym z rymów.

Glaub nicht, ich sei ein weicher Mondscheinheld,
Ein Bilderjäger, der vom eignen Windhund,
Von Phantasie, durch Nacht und Höll'gehetzt wird,
Ein magenkrank schwindsüchtelnder Poet,
Der mit den Sternen Unzuchs treib, der Leibschmerz
Vor Rührung kriegt, wenn Nachtigallen trillern,
Der sich aus Seufzern eine Leiter baut,
Und endlich mit dem Strick verschlungener Reime
Sich aufhangt an der Saule seines Ruhms.
(tom XVI, str. 111).

Taki «kochanek» nie może być oczywiście bohaterem tragedyi miłosnej, z takiego materyału nie ulepiłby nawet Szekspir Otella, a tem mniej Romea. Człowiek, który w ten sposób wyśmiewa, krytykuje, nie może kochać. Należy się też dziwić, dlaczego William trwa w swej nierozumnej, szalonej miłości do Maryi. Uczucie jego jest chorobliwym kaprysem romantycznym, jak cała tragedya.

I «William Ratcliff» Heine'go nie zasługuje na miano dramatu, tak samo, jak «Almanzor». Nie zabłysnał też nigdy w świetle kinkietów ku wielkiemu zmartwieniu swego twórcy. «Almanzora» wystawił raz jedyny August Klingemann, dyrektor teatru brunświckiego, podzieliwszy tragedyę na dwie odsłony. Lecz zupełne niepowodzenie odebrało odważnemu przedsiębiorcy dalszą ochotę do popierania dramatów Heinego. Daremnie domagał się rozgłośny później autor «Księgi pieśni» i «Obrazów» prawa przemawiania do publiczności z desek, które mają świat oznaczać (*Die Bretter, die die Welt bedeuten*). Nieudałej próby Klingemann'a nie powtórzył żaden kierownik teatru niemieckiego. Potomność przeszła po «tragedyach» Heinego do porządku dziennego.

Nie wynika oczywiście z tego, żeby tak zwane «tragedye» Heine'go nie miały mieć żadnej wartości literackiej. Utwór znakomitego autora może być w pewnym kierunku płodem poronionym, lecz będzie w innym względzie świadczył zawsze o talencie swego twórcy. W «Almanzorze» uronił Heine kilka perełek lirycznych, które każą czytelnikowi zapomnieć o wadliwości techniki dramatycznej.

Prześlicznie śpiewa Almanzor pod oknami Sulejmy:

Güldene Sternlein schauen nieder
Mit der Liebe Sensuchtwehe;
Bunte Blümlein nicken wieder.
Schauen schmachtend in die Höhe itd.
(tom XVI, str. 46—47).

Genialnie skarży się w obłędzie swoim na «słońce, które spadło na jego głowę» itd. (str. 71).

Lecz ilekroć trzeba być podniosłym, staje się autor płaczliwym i mdłym. Pierś jego nie była wykrojona na miarę: Szekspirów, Kalderonów, Schiller'ów i Kleist'ów; rzadko wypływał z niej mollowy dźwiek prawdziwej tragiczności. Za to odtwarzał daleko lepiej namiętności i właściwości ujemne, jak nienawiść bezwzględną (Hassan), jak szyderstwo i cynizm. Znakomicie odmalował w «Williamie Ratcliffie» dowcip rabusiów i złodziejów. Tom, uczący swego synka pacierza, a okradający potem śpiącego opryszka, jest iście genialnym pomysłem. Daleko też lepiej, dosadniej, jędrniej, aniżeli Almanzor, przemawia William. Każde jego słowo jest potężną negacyą, i dlatego udało się Heine'mu. «Nie wierzcie — mówi syn Edwarda do Toma (scena VI. str. 107, tom VI.)—stary Robin nie będzie płonął w ogniach piekielnych, bo tam na drugim świecie, sądzą inaczej niż tu, w Wielkiej Brytanii. Robin jest mężczyzną, a każdego mężczyznę porywa gniew, gdy widzi, jak najnędzniejsi ludzie, nie warci feniga, opływają w dostatki, błyszczą jedwabiem i aksamitem. połykają ostrygi, kąpią się w winie szampańskiem, zabawiają się w łóżku doktora Grahama, jeżdżą ulicami w złocistych powozach, a spoglądają dumnie na biedaka, który wlecze się wolno, jęcząc, z ostatnią koszulą do lombardu. O, proszę, jacy oni mądrzy, ci najedzeni ludzie! Otoczyli się wałem praw, aby hałaśliwe ubóstwo nie mogło do nich dotrzeć. Biada śmiałkowi, który przełamie tę zaporę! Czekają na niego sędziowie, kaci powrozy, szubienice — lecz... bywają czasem ludzie, którzy się tego aparatu nie obawiają.»

Słowa te są «owemi śladami trzeciego wybitnego rysu oblicza autorskiego» Heine'go. Nie inaczej deklamowałby współczesny socyalista. I komunard paryzki nie potępia prawdopodobnie opryszków i rabusiów, lecz nazywa ich... mężczyznami, bohaterami, męczennikami.

«Tragedye» należą do najpierwszych utworów Heinego, a mimo to widzimy już w nich całego «niezadowoleńca», bo: romantyka, bezwyznaniowca i burzyciela porządku społecznego. Granic tych nie przekroczył Heine nigdy, gdyż odwołanie na łożu boleści nie może mieć dla historyka literatury żadnej wartości. Malkontentami bywali i inni wielcy pisarze, lecz między poetami XIX. w. nie umiał tylko jedyny autor «Obrazów» zachować miary w tym względzie. Od krytyki danej religii pozytywnej do cynicznego ateizmu wiedzie droga bądźcobądz długa. W pośrodku leży deizm, wiara w Boga, bez której się żaden twórca dodatni obyć nie może. Możliwe-ż bo natchnienie bez idealnych poglądów na cele świata i ludzkości? Tak samo nie wynika z niezadowolenia z chwilowych urządzeń społecznych bezpośrednio apoteoza złodziejstwa i rozboju. Jest to już ostatni skutek chorobliwie roznamiętnionego doktrynerstwa socyologicznego.

Heine nie zdawał sobie sprawy z tego, co chciał. I jego piórem powodowały jakieś mgliste, powiewne postacie,» unoszące się już nad kołyską późniejszego szydercy. Były to instynkta i pragnienia, które przeszły na niego z krwią przodków. Burzyć. zburzyć wszystko, zniszczyć, wyśmiać, oplwać całą cywilizacyę chrześciaństwa! Oto.

Lecz to bezwzględne burzenie, złamało skrzydła poetyckie Heine'go. Jak nie umiał dokończyć «Rabina z Bacharach», ani utrzymać się w tonie przedmiotowym, choćby przez ciąg jednego utworu belletrystycznego, tak nie wypieścił w duszy swojej ani jednego charakteru dramatycznego, którego czyny wzbudziłyby w czytelniku podziw albo grozę tragiczną. Almanzor jest ckliwym niedołęgą... a William zwaryowanym opryszkiem.

IV.

Henryk Heine jako felietonista i publicysta.

„Obrazy podróży.“ — Działalność publicystyczna Heine'go. — Korespondencye z Paryża. — Książka o Ludwiku Börne'm.

Zdeptany przez armię Napoleona I., sponiewierany i upokorzony naród niemiecki zdobył się nareszcie na odwagę i, zebrawszy wszystkie swe siły, wyruszył gromadnie przeciw dumnemu wojownikowi, który marzył o odbudowaniu cesarstwa rzymskiego.

Klęska pod Waterloo rozstrzygnęła losy Europy. Bonaparte pokutował na wyspie św. Heleny za pychę swego życia, a Niemcy odetchnęły.

Wielki ruch patryotyczny wydał poezyą pełną wiary i nadziei. Pieśni Arndt'a i Uhland'a, Körner'a i Schenkendorf'a rozbrzmiewały po całej Germanii. Ludziom zdawało się, że minęły raz na zawsze czasy rządów żołnierskich.

Lecz złudzenie to trwało bardzo krótko. Nadzwyczaj silna reakcya, zwana «restauracyą,» wypełzła z «wojen o niepodległość.» Ogarnęła ona nietylko Francyę, lecz Austryę i Niemcy. Obostrzono wszędzie cenzurę, młodzież ścigano za domniemaną demagogię, a poezyi zamykano przemocą złote usta.

Ożywieni na chwilę romantycy, zapadali w ponowną, a daleko głębszą obojętność. Zawiedzeni, rozczarowani, zasklepili się w swych formułkach estetycznych, tonąc zupełnie w fantastyczności i czułostkowości. Patryotyzm ich zamienił się teraz na nienawiść do spraw społecznych i politycznych, a uczucie stało się rozpłakaną, niemocną kapryśnicą, skarżącą się na wszystko i na wszystkich.

Słabsi lub mniej szlachetni rzucili się w objęcia reakcyi i wyuzdanego życia; lepsi, uznający potrzebę jakiejś pomocy moralnej z zewnątrz, szukali ulgi na łonie wiary objawionej. Tych jednak było nie wielu. Daleko znaczniejsza część «odurzała się,» bez względu na środki.

Pozorna cisza zaległa Niemcy po r. 1816.

Ludzie chodzili do kościołów, udając, że się modlą, że pragną tylko spokoju. Autorowie, krytycy i dziennikarze spierali się o drobne różnice techniczne, i zachwycali się grą aktorów lub muzyków, jakgdyby nie było świata poza teatrem i salą koncertową. Dyplomaci i mężowie stanu myśleli jedynie nad środkami zatarcia pamięci «wojen o niepodległość;» żołnierze milczeli, a kupcy służyli złotemu cielcowi, jak zawsze i wszędzie.

Zdaje się, że się ludzkość zmęczyła wzruszeniami i wrażeniami ostatnich lat trzydziestu, że nie pragnęła już myśleć ani czuć. Wszyscy przemawiali głosem cichym, uśmiechając się blado. Przyjaciel nie wierzył przyjacielowi, druch nie ufał druchowi. Każdy kłamał.

Lecz gdy noc zapadła, wtedy zapełniały się domy gry i zabaw, winiarnie i piwiarnie różnobarwną publicznością. Minister i dyplomata, jenerał i urzędnik, literat i wyrobnik — hulali, romansowali, pili zwodzili i uwodzili. W salonach żydówek berlińskich panował bezwstyd, pokostowany rzekomą wolnomyślnością. To samo działo się w pałacach możnych i wielkich tego świata.

A gdy się nazajutrz ci sami ludzie spotkali w urzędzie lub służbie, składali ręce, wznosili oczy pobożnie w niebo, i rozprawiali z namaszczeniem kwakiera o cnocie.

Ucisk «restauracyi» spowodował demoralizacyę tem ohydniejszą, że obłudną.

Na taki grunt padła pierwsza część «Obrazów z podróży» (*Reisebilder*) Henryka Heine'go, drukowanych nasamprzód w czasopiśmie berlińskiem pt.: «*Gesellschafter*», a wydanych w formacie książkowym w maju 1826 r., w Hamburgu u Hoffmann'a i Campe'go.

Sam autor nie przywięzywał do tych luźnych kartek, rzuconych odręcznie, wielkiej wartości, czego dowodem jego listy, pisane podczas druku do Varnhagen'a.

Lecz, o dziwo! Książeczka rozchodzi się niezmiernie szybko, publiczność pochłania chciwie słowa młodego autora, a krytyka wyraża się o nowym talencie bardzo pochlebnie.

Schwarze Roecke seidne Strüpfe, Weisse, hoefliche Manschetten,	Czarne atłasy — białe koronki, Jedwabne słówka — westchnienia płoche —
Steife Reden, Embrassiren — Ach, wenn sie, nur Herzen hätten!	Uśmiechy... żądze — łzy, pocałunki..• Gdyby wam serce choć frochę! —
Herzen in der Brust, und Liebe, Warme Liebe in den Herzem — Ach, mich toedtet ihr Gesinge	Serca, drżącego w piersi miłością — Miłości w sercu utkwionej grotem... Ach! — jam już ogłuchł waszą czułością —
Von erlogenen Liebeschmerzen.	Ogłuchł czułości szczebiotem!
Auf die Berge will ich steigen, Wo die frommen Hütten stehen	Uchodzę w lasy, uchodzę w góry — Gdzie bratnie serca myśl łączy zgodniej;
Wo die Brust sich frei erschisset, Und die freien Lüfte wehen.	Kędy jaśniejsze niebios lazury — Gdzie pierś oddycha swobodniej.
Auf die Berge will ich steigen. Wo die dunkeln Tannen ragen,	Uchodzę w lasy, uchodzę w góry — Gdzie jodły skronie unoszą szczytniej —
Büsche rauschen, Voegel singen,	Ptastwo śpiewniejsze — lotniejsze chmury —
Und die stolzen Wolken jagen.	I zdroje płyną błękitniej.
Lebet wohl, ihr glatten Säle! Glatte Herren! glatte Frauen! Auf die Berge will ich steigen, Laschend auf euch niederschauen.	Żegnajcie panie, strojne w atłasy!.. Swietni panowie!.. Swietne salony!.. Uchodzę w góry, uchodzę w lasy: — Swiat u stóp rzucam strącony.

«Prolog» ten, umieszczony na czele pierwszego «Obrazu« (*die Harzreise*), a charakteryzujący znakomicie niesłychaną czczość owego czasu, tłomaczy niezwykłe powodzenie ulotnych szkiców z podróży.

Literatura niemiecka ustroiła się po r. 1820 rzeczywiście w czarne atłasy, białe koronki i uprzejme rękawki» (*höfliche Manschetten*), a posługiwała się «jedwabnemi słówkami, westchnieniami, uśmiechami,» przemawiając cicho, słodko, jak salonowiec, jak elegant. Romantycy skarżyli się rzeczywiście na świat, którego nie znali, na ludzi, którym się nawet nie raczyli dobrze przypatrzeć. «Kłamali» oni zachwyt, miłość rozkosze i cierpienia serca. Z poezyi ich uszła prawda, ustępując miejsca sztuczności.

Wtem odzywa się głos młody, świeży, drwiący sobie z przepisów «dobrego tonu,» stylistyki i techniki. Nazywa on wszystko po imieniu, nie krępując się wcale formułkami konwenansu estetycznego. Pisze co mu na myśl przychodzi, nie przebierając w słowach (*Maul*; *angesoffen*. *Waden*; *Koth*; *Ein Weisbild, das dort sein*

horisontales Handwerk treibt; so entsetzlich schwadronirte; echtdeutsch romantisch verrückt; sitzen bleiben itd.). Z pierwszych «Obrazów Heine'go przemawia ton «knajpy» studenckiej, ale właśnie ta buta młodzieńcza, ta «hulaszczość» myśli i formy podobała się ludziom, którzy sobie sprzykrzyli gładkie a bezduszne poezye epigonów romantyzmu. W książeczce młodego autora kipi, wre, śmieje się życie, a na domiar życie owych czasów.

Bo dwudziestokilkoletni Heine nie miał jeszcze czasu do nauczenia się «sztuki życia.» Wychowaniec rodzącego się ateizmu i materyalizmu, mówi, jak wierzy, jak czuje. Starsi, choć lubią uciechy tej ziemi i szydzą na uboczu z własnych zapałów, chowają się jednak ostrożnie za parawan idealnych frazesów, a Heine prawi wprost, bez obłudy: kocham ładne kobietki, przepadam za rozkoszami miłości, drwię sobie z ludzi, z świata i Boga.

Dla niego nie istnieją powagi. Ledwo wyzwolony student, wyśmiewa swych profesorów i zdawkową uczoność uniwersytów (*der enge, trockene Notizenstolz der hochgelahrrten Georgia Augusta*); niedawno przechrzcony żyd szydzi z chciwości plemienia z którego sam pochodzi; poeta, tkwiący jeszcze po uszy w romantyzmie, urąga «kłamanym zachwytom» swych mistrzów. Mowi o wszystkiem, nicuje wszystko, wybuchając od czasu do czasu głośnym śmiechem satyryka.

Bezwiednie naszkicował Heine w swych pierwszych «Obrazach» portret swego czasu, dziwiąc się potem, że zyskał odrazu wielki rozgłos. Dla potomnych jednak są owe szkice tylko garścią luźnych kartek, napisanych wdzięcznie, lekko, z wielkim talentem, lecz nie zawierających w sobie nic trwalszego.

Młodzieniec dwudziestokilkoletni odbywa pieszo wędrówkę z Göttingen na górę Brocken i dzieli się wrażeniami swemi z czytelnikiem. W opisach jego niema plastyki, a w dykcyi podniosłości. Tu i ówdzie błyszczy dowcip, niby brylant, zadziwia oryginalny obraz, lub zabawia trywialny zwrot «bursza». Cóż w tem tak bardzo niezwykłego? Nowym był «tylko ów «cięty,» cyniczny, wyłacznie żydowski, «humor», występujący po raz pierwszy w literaturze niemieckiej.

Chciwy popularności, rozczytywał się Heine uważnie w krytykach, a zrozumiawszy, że zawdzięcza niespodziewane powodzenie: szyderstwu, bezwzględności i podjazdowej walce z obłudą swego czasu, postanowił ruszyć jeszcze dalej w tym samym kierunku. Śmielej też i butniej przemawia w drugiej części «Obrazów», wydanych w r. 1827. Dowcipniś zdradzający w pierwszej części bezwiednie swe «gusta,» broni tu już z pełną świadomością zmysłowości i wojuje namiętnie z «popami i junkrami». «Każda kobieta jest dla mnie światem — woła w «Ideach», rozkoszuję się w melodyach jej oblicza, używając więcej jednym promieniem mego wzroku, aniżeli inni wszystkiemi członkami swego ciała. Każda chwila jest dla mnie nieskończonością; nie mierzę czasu brabanckim, lub hamburskim łokciem, i nie potrzebuję wcale drugiego życia, obiecywanego przez księży, bo mogę już dosyć i na tym tu świecie doświadczyć, gdyż żyję wstecz, mych przodków przeszłością, zdobywając sobie w ten sposób nieśmiertelność w krainie wieków minionych.» Odczytywanie takich błyskotliwych paradoksów musiało się starym grzesznikom owego czasu niezmiernie podobać. Dowcipny i bezwzględny młokos wygłaszał przecież najtajniejsze myśli ich i pragnienia.

W tych samych «Ideach», wielbi Heine wielką rewolucyę Francyi i zachwyca się Napoleonem, «mężem z ludu.» «Brytanio, do ciebie należy morze! Ale morze nie posiada dosyć wody, aby zmyć z ciebie hańbę, którą ci wielki nieboszczyk w spuściźnie przekazał. Nie twój śmieszny Sir Hudson, *nie*: ty sama byłaś zbirem sycylijskim, którego sobie królowie wynajęli, aby się zemścić tajemnie na mężu z ludu w ten sam sposób, jak to niegdyś lud na jednym z nich publicznie uczynił» (tom I. str. 255). Ten «mąż z ludu» podobał się znów młodzieży i wszystkim niezadowolonym,» których liczba rosła z każdym dniem.

Ale już wówczas zwrócił jeden z krytyków berlinskich uwagę na grzeszny subjektywizm młodego autora, który «stawia zawsze siebie w środku swych prac», i radził mu, aby się «więcej skupił, aby się zabrał do stworzenia czegoś dodatniego, jednolitego, bo ciągłe szyderstwo niszczy w końcu największy talent.»

Lecz młody Heine był w mniemaniu swojem nieomylnym «trybunem ludu», mężem, którego głos «rozchodzi się szeroko i daleko,» przeto nie uwzględnił życzliwych rad, owszem, poszedł jeszcze dalej. I dziwił się, gdy trzeciej części «Obrazów» nie klaskano tak zapamiętale, jak poprzednim.

W tej trzeciej seryi, wydanej w r. 1830, przemawia Heine już z piedestału znakomitego męża, któremu wszystko wolno. Pominąwszy ciągłe wycieczki przeciw szlachcie, księżom, reakcyonistom i wszelakim «obskurantom», dość zwrocic uwagę na lekkomyślną krytykę religij pozytywnych, wygłoszoną przez Hyacynta w «Kąpielach w Lucca» (*die Bäder von Lucca,* tom II. str. 231 do 238).

«Katolicyzm jest dobrą religią — prawi Hyacynt, — lecz tylko dla wysoko urodzonego barona, który nie potrzebuje przez cały dzień nic robić, albo też dla znawcy sztuk pięknych, ale nie jest wcale wyznaniem wygodnem dla mieszkańca Hamburga, dla człowieka, który posiada jakieś zajęcie, a najmniej dla kolektora loteryjnego. Co do mnie, muszę każdy numer bardzo dokładnie wypisać, czegobym nie mógł uczynić, gdybym myślał przypadkiem o: bum! bum! bum! dzwonów katolickich, lub gdyby kadzidło zaćmiło mój wzrok... Religia ta wygląda, jak gdyby Pan Bog — nie spraw tego Boże — właśnie umarł. Czuć kadzidło, jak na pogrzebie, a muzyka zawodzi tak smutnie, że można się melancholii nabawić...»

— A protestantyzm?

«Protestantyzm jest znów zanadto rozumny, i gdyby w kościele ewangelickim, nie było organów, nie byłby żadną religią. Mówiąc między nami, nie szkodzi ta religia nikomu, ale też nie dopomaga nikomu...»

— A judaizm?

«Nie mów mi pan o tej religii, której nie życzę memu największemu wrogowi. Nie przynosi ona nic, okrom sromu i hańby. Zapewniam pana, że judaizm nie jest żadną religią; jest on po prostu nieszczęściem» itd.

Ta bezwzględność jest tym karygodniejszą, że Heine nie odczuwał właściwie ateizmu. «A właśnie ta niezgoda przekonań w umyśle moim, — pisze (tom I. str. 132, *Norderney)* — przedstawia mi rozluźnienie pojęć naszego czasu. Co wczoraj uwielbialiśmy, nienawidzimy dziś, a jutro wyśmiejemy może z obojętnością co dziś kochaliśmy.» Kilka zaś stronnic dalej (tamże, str. 138), mówiąc o epoce, z której sam idzie, skarży się: «Ale to pokolenie wydało ludzi, w których sercach krąży tylko cuchnąca woda...» Co chwila też tęskni za «kwiatami Brenty,» za «ojczyzną swoją, za świętym Gangesem», słowem, za marzeniami romantyzmu, który nie miał świadomości niedowiarstwa. Kto zaś nie jest w «zgodzie z samym sobą,» w czyjem sercu krąży «cuchnąca woda», zamiast zdrowej, czerwonej krwi, ten nie powinien wydawać sądów *ex cathedra*.

Heine udawał po prostu ateusza, demokratę i liberała gwoli oklaskom swego czasu, który niezadowolony z tego, co było, pragnął jakiegokolwiek przewrotu. Współczesnym podobało się bezwzględne przeczenie, więc przeczył autor «Obrazów,» zrazu bezwiednie, później zaś z swiadomością, żądny jak najszerszej popularności.

Oprócz lekkomyślnej krytyki religii, zawierały «Kąpiele w Lucca «niesłychanie nienawistną polemikę z Platenem. Hr. Pla-

ten-Hallerminde, jeden z najznakomitszych wierszopisów niemieckich, zaczepił w swym «Edypie romantycznym» między innymi i Heine'go, wymierzywszy cios w piętę achillesową autora «Obrazów», bo w jego pochodzenie żydowskie. Wiadomo, że izraelici wykształceni nie lubią, gdy im ktoś kołyskę ich przypomni.

Było to wystąpienie nietaktowne, lecz nie uprawniało przeciwnika do brutalstwa, do prostej denuncyacyi. Heine odpowiedział nietylko nadzwyczaj namiętną krytyką działalności literackiej Platena, któremu odmówił wszelkiego talentu, lecz obrzucił i prywatnego człowieka błotem, pomawiając go o grzech sodomski. Był to w literaturze niemieckiej pierwszy przykład tak nad wszelki wyraz nieszlachetnej polemiki, tym nieszlachetniejszej, że Heine zozumiał bardzo dobrze znaczenie Platena. Autor «Obrazów» zemścił się wprawdzie straszliwie, lecz zaszkodził ostatecznie najwięcej sobie samemu. Nawet jego najlepsi przyjaciele ostygli dla niego po tem wystąpieniu, a obojętni zaczęli go dopiero teraz na dobre krytykować.

Ciąg dalszy nastąpi.

Uniwersytet w Frajburgu Bryzgowskim.

ZE WSPOMNIEŃ LAT UBIEGŁYCH.

Dokończenie.

Gdy nasze trzy towarzystwa przewagę miały na uniwersytecie, przeprowadziliśmy reformę, znieśli trzy comments, zaprowadzili sąd honorowy, bez zezwolenia którego nie wolno było się pojedynkować. Słowem wszysko było wzorowo -- jak długo przez rok. Po roku bowiem z 10-ciu Polaków sam jeden w Frajburgu pozostałem. Inne przyszły Szwajcary, burszenszaft osłabł, i znowu powstała Svaevia i Rhenania i wszystko do dawnego wróciło. Nowy to dowód jak efemerycznemi są wszelkie tak zwane instytucje studenckie, które w nich uczestnicząca młodzież za tak nader trwałe uważa.

Następne cztery semestra przepędziłem już opodal wszelkich stowarzyszeń, w szczupłem kółku towarzyszów, a głównie zawodowych kolegów. Jedynie tylko na zaprosiny brałem udział w komersach lub komitatach. Tą nazwą odznacza sią odprowadzenie bursza opuszczającego uniwersytet w sposobj uroczysty, w wielkiej liczbie powozów aż do najbliższej stacyi pocztowej, pierwej oczywiście przez główne ulice miasta przejechawszy. Zaprowadzenie kolei żelaznej zmianę w tej mierze spowodowało. Teraz najmują akademicy osobne wagony dla siebie i w nich odprowadzają odjeżdżającego aż do jakowejś lepszej stacyi. Pamiętam taki komitat dany jednemu z Polaków, w ktorym 80ciu studentów brało udział, a który w miasteczku Emendingen był rodzajem ewenementu.

Na zakończenie tego ustępu o życiu akademickiem w Niemczech, przytoczę tu jeszcze humorystyczne wspomnienia. Gdy w roku 1845 szwajcarska partya przeciwna Sonderbundowi wszędzie obchodziła uwolnienie z więzienia w Lucernie Dra Steigera, swego naczelnika, także i frajburgska Helwecja uczynić to zamierzała i prosiła sędziego uniwersyteckiego o udzielenie «Freinacht», tj. o pozwolenie, by gospoda jej nie musiała o godzinie 11 w nocy, według ogólnego przepisu być zamkniętą. P. sędzia odmówił pozwolenia. Wskutek tego Szwajcarzy, którzy w swoim lokalu przez cały dzień gości podejmowali, o wskazanej godzinie cicho i spokojnie ale wraz z zaproszonymi razem gromadnie wyszli za terytorium miejskie, gdzie władza P. Amtmanna się kończyła, tam zapaliwszy pochodnie weszli na najbliższą górę, na której przy zawczasu sprowadzonych zapasach wesoło całą noc letnią przepędzili. Tego dnia jeden z młodszych statystyków rachował sumiennie, wiele nasz nauczyciel fechtunku, 70-letni stary napoleoński rachmistrz, P. Escher wychylał kufli. Gdy już nad ranem, na owej górze 99tą szklankę skonstatowano, pomimo najusilniejszych próźb nie dał się «Fechtfuchs« (taki on nosi tytuł) nakłonić do spełnienia setnego, tj. jubileuszowego kufla, poważnie mówiąc «wszystko ma swe granice, wszystko w swej mierze.» Stary ten oryginał, który ku zgorszeniu gremium profesorów na processją Bożego Ciała zawsze szedł w ich najbliższem sąsiedztwie, a między ogłoszeniami prelekcji na «czarnej desce» swoje doniesienia przybijał, że i tego semestru in gewohnter Weise będzie den Unterricht ertheilen, ten oryginał miał podobno czaszkę w niezwykły sposob skonformowaną. Sprzedał też profesorowi anatomii Dr. Perlepp głowę swą w ten sposób, że takowa ma mu być po śmierci Escheru wydaną. Przychodzę wieczorem do zwykłego lokalu, widzę p. Haufuchsa w najlepszym humorze. Woła on mnie i powiada: któż lepszym odemnie finansistą, gdy za życia głowę mu spieniężyłem? poszedł potem do uniwersytetu i wyprosił by i tułów od niego kupili (a był olbrzymiego wzrostu), bo mówi: cóżbym z nim robił, gdym już głowę sprzedał? Nie nadługo był jednak spokojnym, umiera bowiem Profesor Perlepp, a Escher ab intestato po nim swą własną głowę dziedziczy. Naturalnie nie mając teraz tułowia na cóż głowa przydać się może? prędko więc ją znowu sprzedał uniwersytetowi. Wieczór tego tak szczęśliwego dlań dnia widzę go znowu, fantazja jeszcze lepsza, opowiada mi całą sprawę i mówi: jak skończywszy studya tu kiedy przyjedziesz, idź do anatomicznego muzeum, zobaczysz tam ogromny szkielet z piękną czaszką, będzie to szkielet des alten Haufuchs Escher, twego nauczyciela, podaj mu rękę po przyjacielsku!—Byłem istotnie potem w Frajburgu, ale, stary fechtmistrz mi to zapewnie przebaczył, nie poszedłem go odwiedzić, bo nietylko zbyt mam wielką cześć dla zmarłych, ale wyznam szczerze, wizyta ta była dla mnie za bolesną.

Przejdźmy do weselszych wspomnień. Mówiłem już, że toasty i mowy bardzo u nas popłacały. Pamiętam więc dwie dość efektowe. Jedną miał stud. med. Barth, uchodzący za najlepszego oratora, na jakimś wielkim komersie. Chcąc poetę zacytować powiada: und wie sinnig der grosse Dichter spricht... pyta sąsiada po prawicy: Du, wie spricht er denn? Ten na to: nie wiem czego chcesz — obraca się na lewą stronę z temże pytaniem lecz i tu ta sama negatywna odpowiedź, wszyscy czekają, trzeba jechać dalej, a cytaty przypomnieć sobie nie może. Więc od razu powiada «es ist Wurst, meine Herren, was der Dichter spricht» i pojechał wśród ogólnych oklasków. Drugi, niemniej wymowny, stud. jur. Ill przy podobnej okoliczności, dobrze już iluminowany powiada: Ich bin ein Schwabe! (Brawo) darum will ich einen Schwabenstreich begehen (Brawo), und wnoszę zdrowie naszego szanownego profesora N. N. Tutaj dopiero cisza grobowa, ale że Schwabenstreich [1]) się udał, na to była zgoda ogolna.

Zanim poświęcę słów kilka pamięci mych profesorów, jeszcze mi o samem mieście i kraju, wśród którego żyliśmy, — o filisterium wspomnieć należy.

W. Ks. Badeńskie w samym południowo-zachodnim końcu Niemiec, w sąsiedztwie Francji i Szwajcarji położone, wyjąwszy gor Czarnego Lasu (Schwarzwald) do niego należącej, kraj najbogatszy, urodzajniejszy i najrozkoszniejszy, od południa nad bodeńskiem jeziorem, od zachodu nad Renem położony, naówczas półtora miliona mieszkańców tylko liczący, kraj wraz z Danią i pewnemi okolicami Szwajcarji w całym świecie do najcywilizowańszych należący, był w Niemczech najwolniejszym, a miał rząd wzorowy, światły i zacny jakby sobie tylko tego życzyć można. Któryż tak mały kraj posiada aż dwa uniwersytety (Heidelberg z 1500 i Freiburg z 300 słuchaczami) i politechnikę (Karlsruhe z 1000 uczni). Przed rokiem 1848 był też tam dobrobyt istotny, rolnictwo, rękodzieła, przemysł fabryczny, handel wszystko to kwitło, nie dziw też, iż wówczas była wesołość i swoboda myśli w tym szczęśliwym zakątku, jakie dzisiaj się legendami zdają. Miasto Frajburg wtedy 16.000 ludności mające, utrzymywało wcale dobry teatr i operę, zapewne nie pierwszorzędnemi artystami obsadzoną, ale dobrze wyćwiczoną, bo w tak muzykalnym kraju maltretowanie sztuki by nie uchodziło. A że w Frajburgu panuje istotnie znajomość i zamiłowanie muzyki, dowodem, że Franciszek Liszt tam dawał koncert i z jego rezultatu (on, dość wymagający), był zadowolonym, i że dla tamtejszego towarzystwa śpiewu (Liedertafel) komponowali Majer, Kalenoda i Mendelsohn-Bartoldi, a ten ostatni, który nigdy koncertów nie dawał, w festynie na jego cześć danym, z wyklu-

[1]) Znaczy bąka strzelić, popełnić niedorzeczność.

czeniem płacącej publiczności, dziękując za wyprawiony mu pochód z pochodniami, — fantazyował na fortepianie. (Byłem przy tem obecnym, będąc jednym z najnieczynniejszych członków tegoż Towarzystwa). Pamiętam, że na koncercie Liszta uderzyła mnie dość znaczna liczba wiejskich dziewczyn w narodowym stroju, gdy przecież bilet wejścia 3 reńskie kosztował. Dowiedziałem się dopiero, że w samej rzeczy niektóre z nich są córkami der Herrbauern z Czarnego Lasu, dziedziców niepodzielnych chłopskich minoratów, a że wszystkie córki kupców, fabrykantów, lekarzy, urzędników i z protestanckich gmin, duchownych, wiejski tamtejszy strój noszą, bo w nim istotnie młodym panienkom bardzo do twarzy. Także na balach w obu kasynach widywałem potem często osoby oczywiście dobrze wychowane w tym malowniczym kostiumie. W karnawał akademicy co roku dawali bal dla miasta, na którym ze 400 osób bywało. Miasto odwzajemniało się tak zwanym rewanżbalem z tą różnicą, że nam paradną kolacyą przy tem ofiarowało. Lecz o ówczesnej wesołości najlepiej następujący szczegół da wyobrażenie. Już od dwóch lub trzech dni w karnawale pierwszego roku mego w owych stronach pobytu, czytywałem w miejscowej gazecie artykuły w kronice, dziwnej treści, że przestrzega się osoby poważne w mieście przebywające, iż w najbliższej okolicy ukazują się jakieś postacie podejrzane, które kreuzfidel wyglądają itp. Pytam profesora Trentowskiego co to znaczy? on się śmieje i odpowiada mi, że nie wie, ale że sądzi, że się ta rzecz wnet wyjaśni. W samej rzeczy, mieszkaliśmy za starą bramą miejską, na główną ulicę prowadzącą. chcę iść do miasta, a tu brama kratą czarną (z dyktury) zamknięta i obsadzona samemi staremi i choremi i kalekami obojga płci (lecz kobiety jakieś olbrzymy o grubych kościach). Dowiaduję się co to takiego, aż mi ktoś tłumaczy, że Prinz Karneval ze swoją armią, ze swem leichtes Volk chce zdobyć Frajburg, w którym nudziarze i mizantropy, słowem die Leimsieder zamierzają się przeciw niemu bronić.

Jakoż niezadługo szturm najezdnicy przypuścili, i naturalnie obrońców miasta wzięli między siebie w niewolę lub rozpędzili. Zwycięzcy byli i konno i na pięknie dekorowanych wozach i w pieszych grupach, i w stosownych kostiumach przedstawiali to króla Gambrynusa ze swym dworem, to mitologiczne bóstwa wraz z otoczeniem lub inne alegorye. Boginie, nimfy i inne wdziękinie byli młodzi i gładcy akademicy, i cały ten pociąg tryumfalny, znacznych rozmiarów, ciągnął przez całe miasto do hotelu, w którym była oznaczona główna kwatera! A to lepsze niż rzymski karnawał, po weneckim zaś tylko wspomnienie zostało! Lecz r. 1848 ze swemi następstwami, z wojną domową, z okupacyą przez braci związkowych (Bundestruppen) i ten szczęśliwy kraik nauczyły powagi i obznajmiły go z kłopotami i cierpieniami. Starzy chwalą dawno minione czasy. Zwykle świat się z tego powodu z nich śmieje. Przyznaję, że teraz wygodniej niż dawniej. Z ojcem jeszcze własnemi końmi do Drezna z Krakowa jechałem, potem np. do Paryża koleją przez Wrocław, Lipsk, Berlin, Kolonią, Brukselę, gazu nie było, a nie dopiero elektrycznego światła, o telefonach nikt nie marzył, ale jakoś więcej było życia, więcej energii, wesołości, ludzie byli i do tańca i do różańca, młodzież utyskiwała tylko nad tem, że tydzień nie więcej dni jak siedm liczy, hulała, ale zarazem i pracowała z równymże zapałem, z jakim się bawiła. Dziś może dlatego, żem stary, ale zdaje mi się, że więcej jest takich, co to ni do tańca, ni do różańca, że dużo jest roztrzepanych prawników, a zamyślonych tańcujących.

Na uniwersytecie frajburskim wykładał prawa natury i historyi powszechnej Karol von Rotteck.

Był profesorem prawa Karol Teodor Welcker, oba wielcy przyjaciele Polaków, oba przez swoją encyklopedyą prawniczo-polityczną (Staats u. Rechts-Lexicon), której I. tom, pomimo, że w kilku tysiącach egzemplarzy drukowany doczekał się drugiego wydania, zanim II. tom prasę opuścił, sławni, Rotteck zaś swą historyą powszechną furorę robiący, oba wraz ze starym Valter Itzstein, z Bassermanem, Brentano, Heckerem i kilku jeszcze innemi, posłowie drugiej izby Badeńskiej, reprezentanci owego systemu liberalno-parlamentarnego, którego Lafayette był luminarzem a Guizot i Thiers epigonami, wsławili i kraj swój i Frajburg, a właśnie tamże Trentowski jako prywat-docent filozofii się habilitował. Ś. p. profesor Kremer przeprowadził więc korespondencyą, wskutek której też przez całe trzy lata swego uniwersyteckiego pobytu tamże u wspomnianego profesora mieszkałem.

Gdy jednak do Frajburga przybyłem już Rotteck nie żył, za pół roku i syn jego Herman także docent historyi również życie zakończył, a tylko z najmłodszym synem Gustawem razem odbywałem studja. Welcker nie wykładał, był pensyonowanym, świetność tego uniwersytetu już przeminęła. Największej wtedy używał wziętości fakultet teologiczny. Profesorowie Standenmayer, Schleger i Majer, także i staruszek Hirscher wielkie mieli w Niemczech imię.

Na wydziale medycznym von Siebold, von Arnold, Perlepp, Kobelt także słynęli. Między filozofami Feuerbach, syn sławnego bawarskiego jurysty a brat filozofa i Baumstark byli znakomici. Prawnictwo właśnie najmniej kwitnęło; von Woringen dobry profesor, ale który nic nie drukował, dawał prawa natury, prywatnego niemieckiego i historji tegoż prawa, prawa i procedury kryminalnych. Baurittet kodeksu Napoleona (Badisches Landrecht) prawa lennego i prawa narodów. Fritz, wydawca kompendyum Wennig-Ingenheima dawał wszystkich trzech kolegiów prawa rzymskiego, Majer procesu cywilnego i prawa kanonicznego. Znakomitym profesorem ekonomii politycznej i spokrewnionych przedmiotów był Adam Helferich, dziś jeszcze profesor w Monachium, którego ku wielkiej mej radości tamże przed kilku laty odwiedziłem, a któremu szczególnie wdzięczną przechowuję pamięć. Historyi powszechnej wykładał Gfroerer, innych już teraz nie pamiętam.

Ponieważ nas 10 było Polaków, Trentowski oświadczył się z gotowością wykładania nam publice (tj. bez opłaty czesnego) w zimowem półroczu logiki, w letniem zaś dyalektyki, według swego dzieła Myśli i. Oczywiście z radością korzystaliśmy z tej ofiary, i wtedy w jedynym Frajburgu, oprócz Krakowa w polskim języku odbywały się uniwersyteckie wykłady. Były to ostatnie jego prelekcye, bo on od czasu jak zaczął pisać swe dzieła po polsku, zaniechał niemieckich uniwersyteckich wykładów.

Bronisław Ferdynand z Trętowa Trętowski, z Ciechanowskiego, miał niezamożnych rodziców, jedno z nich było ewangielickiego wyznania, dlatego też według układu jedno dziecko, to jest on właśnie był w kalwińskiej wychowany wierze, gdy rodzony brat jego był (nie wiem czy jeszcze żyje) katolickim duchownym. Przed rokiem 1830 był Trętowski profesorem gimnazyalnym w Szczuczynie w Królestwie. Po wybuchu powstania naprzód był w akademickiej złotej chorągwi, a gdy się ta rozwiązała, w którymś z pułków jazdy nowej formacyi. Po upadku powstania udał się w okolice Królewca, dla nauczenia się po niemiecku i tam u bogatego chłopa, handlarza drzewa był nauczycielem domowym. Umiał on już wprawdzie po niemiecku, ale nie miał wprawy w mówieniu. By się w tym języku ćwiczyć, przetłomaczył on Szyllera die Braut von Mesina, będąc jeszcze w Szczuczynie. Tę robotę nigdy do druku nie przeznaczoną, gdy nazwisko jego zasłynęło, ktoś wynalazły, bez jego wiedzy i woli w Wilnie wydrukował. Przykrym mu był ten postępek tak niedelikatny. Wydalony przez rząd pruski udał się w Badeńskie, naprzód do Heidelberga, potem do Frajburga na uniwersytet. Tutaj zaczął się pisać Trentowski. Doktoryzował się, habilitował jako prywatdocent filozofii, ożenił się z Karoliną Humborger, pewien majątek posiadającą. Z małżeństwa tego jest jedna córka Olimpia, która za mąż poszła za właściciela dóbr w Poznańskiem, nie znam jednak jego nazwiska.

Do doktoryzacyi napisał Trentowski De vita hominis aeterna. Potem Vorstudien zur Wissenschaft der Natur. Dzieło to zrobiło wrażenie nietylko swym nadzwyczaj kwiecistym i pięknym stylem, ów, Jean Paula przypominającym (wysoko też bardzo cenił nasz filozof tego pisarza) ale i oryginalnością swych poglądów, dążących do pośredniego stanowiska między idealistyczną a materyalistyczną filozofią. Ta publikacya zwróciła na niego i uwagę kraju. Mickiewicz, Libelt pisali do niego, wzywając go, by rodakom swe prace a nie obcym poświęcał, ale niedość wchodzili oni w przeszkody jakie w tej mierze były do zwalczenia. Edward hr. Raczyński był wydawcą Chowanny, ale dopiero Dr. Marcinkowski w Poznaniu utworzywszy towarzystwo na akcye, forszusujące Trentowskiemu, drukujące i sprzedające jego dzieła i swe pieniądze w ten sposób znów odbierające, rzecz całą uporządkował.

Przyszedł r. 1848. Marcinkowski umarł. W Poznańskiem zaszły znane wypadki, towarzystwo wspomniane się rozwiązało. Trentowski przybył do Krakowa, lecz nie było tu widoku dla niego, żeby mógł dostać katedrę, był w Frankfurcie, wrócił do Frajburga, gdzie do końca życia zamieszkał.

Nie będę dzieł jego polskich wyliczał, ani w ich ocenę nie wdawał. To tylko powiem, że gdyby autor w pobocznych rzeczach, nietykających samego przedmiotu był unikał drażnienia siepotrzebnego, gdyby był mniej namiętnym, a druga strona, gdyby nie na te, zapewne że obrażające, ale potoczne wykrzykniki była mniej, a na jego teoryą pilniejszą była zwróciła uwagę, toby obie strony się lepiej były poznały i porozumiały. Poufały i zaufany domownik Trentowskiego mogę powiedzieć, iż wierzył on i w Boga osobistego i w indywidualność duszy i sprawiedliwość przyszłą. Jego filozofia dałaby się lepiej użyć niż filozofia Kanta, której bardzo się używa. Sapienti sat.

Był to człowiek prawy i zdolny poświęcenia. Wytrwałości pracowitości niezrównanej. Żyjący dla swej nauki, chociaż kochający szczerze i swą rodzinę i kraj. Wyłącznie tylko umysłową pracą zajęty, nie mógł być praktycznym wcale. Dlatego rad słuchał wskazówek przez Dr. Marcinkowskiego mu dawanych i wielce bolał nad utratą tego szczerego przyjaciela. Zdarzało się, iż wskutek zbyt natężonej i długotrwałej pracy następował stan rozstrojenia nerwowego. Wtedy spiąc śniło mu się, iż dalej przy swym pulpicie stoi i pisze i tak całą noc pracował, począwszy tam, gdzie za dnia poprzestał. Taki sen nie pokrzepiał go ale przeciwnie osłabiał, i wtedy wskutek porady lekarza opuszczał wszelkie umysłowe zajęcie, nawet gazety nie wolno mu było czytać lecz robił wycieczki piesze. Towarzyszyłem mu na takowej 4 dni trwającej po Szwarcwaldzie.

Osobiście poznałem u niego ś. p. Józefa Gołuchowskiego, niegdyś profesora i autora dzieł filozoficznych, zdaje mi się właściciela dóbr Garbacz.

Także posła Nakwaskiego, Dr. Szasteckiego Władysława, właśnie co zmarłego i wielu przejeżdżających przez Frajburg rodaków. W korespondencyi już to więcej, już mniej ożywionej był jak powiedziałem z Mickiewiczem, Libeltem, Kremerem, hr. Ed. Raczyńskim, Marcinkowskim, hr. Zygmuntem Krasińskim (bardzo ożywioną) i różnemi innemi. Było to dla mnie nader ciekawem i pouczającem czytać tę całą korespondencyą. Ponieważ jednak jestem zdania, że tylko dzieła autora należą do publiczności a nie jego sprawy i życie, i listy prywatne, więc pewnie żadnej tu nie popełnię niedyskrecyi.

Powiem tylko, że jeden Trentowski wiedział gdzie ukryte są najważniejsze oryginalne uchwały sejmu z r. 1830—1831 przez zmarłego i w Frajburgu pochowanego archiwistę sejmowego wywiezione. Ja tego nigdy nie wiedziałem i oczywiście o to nie pytałem, to wiem tylko, że nie w Frajburgu, a nawet i nie w Badeńskiem.

Podczas mego pobytu u Trentowskiego wiele bardzo skorzystałem, z wdzięcznością to przyznaję i kończę o nim, mówiąc: pokój jego pamięci.

Z uniwersyteckich mych kolegów wspomnę tu Ignacego Łyskowskiego, właściciela Mileszew pod Brodnicą w Michałowskiej ziemi, w Prusach zachodnich, posła i prezesa koła polskiego poselskiego w Berlinie. Niedawno zmarłego ks. Knebel, arcybiskupa frajburskiego, zmarłego w Ameryce Chrystyana Esselen, w r. 1848 szalonego demagoga w Frankfurcie; prof. Dr. Schlegel w Wertheim w Badeńskiem, a wielu już zmarło.

S. M.

FORTUNA.

(„La fortune“).

Stuk-puk! Kto tam do drzwi puka?..
Stuk-puk!.. Liza? To wejść może!..
„To fortuna ciebie szuka“
Stuk-puk!.. „Otwórz!..“ Nie otworzę!..

W mej izdebce z przyjacioły
Pogadanka idzie błogo...
I bez ciebie — jam wesoły!..
Idź, fortuno, swoją drogą!..

Stuk-puk!.. Jeszcześ do drzwi puka?..
Stuk-puk!.. szepce mi w pokorze:
„Toż fortuna ciebie szuka“
Stuk-puk!.. „Otwórz!..“ Nie otworzę!..

Brzęczysz złotem?.. Twoje złoto
Cóż dobrego mi uczyni?..
Mam ja kawał chleba oto —
I odzieży trochę w skrzyni!..

Stuk-puk!.. Próżno!.. Stara sztuka!..
Stuk-puk!.. Innych zwabisz może!..
„To fortuna ciebie szuka...“
Stuk-puk!.. „Otwórz!..“ Nie otworzę!..

Masz tam szkarłat i kamienie?..
Cóż po twojej nam paradzie?..
Myśmy własne tu odzienie
Pozrzucali przy biesiedzie!..

Stuk-puk!.. Gniej na innych kruka!..
Stuk-puk!.. Przyjmą cię w pokorze!..
„Toż fortuna ciebie szuka!..“
Stuk-puk... „Otwórz!..“ Nie otworzę!..

Mówisz — wielkość razem z sławą
Koło ciebie tam się kręci?..
Puste brzmienie!.. Z tą zabawą
Ruszaj tam, gdzie są studenci!..

Stuk-puk!.. Darmo! — Nędzna sztuka!..
Stuk-puk!.. Dzieci zwabisz może!..
„Toż fortuna ciebie szuka“
Stuk-puk!.. „Otwórz!..“ — Nie otworzę!..

Mówisz, że mi lepsze czasy
Zawitają z twoją łaską?..
Jestem pewny, że grymasy
Drwiące stroisz pod swą maską!..

Stuk-puk!.. Życie — to nauka!..
Stuk-puk!.. Wierzyć?.. Żal się Boże?..
„Wszak fortuna ciebie szuka...“
Stuk-puk!.. „Otwórz!..“ Nie otworzę!..

Stój tam u drzwi i do ranka —
Ja zostaję przy swej biedzie!..
Wolę, niechaj mię kochanka
Zwiedzie, — to weselej zwiedzie!..

Stuk-puk!.. Któż tam do drzwi puka?..
Stuk-puk!.. Liza?.. To wejść może!..
„To fortuna ciebie szuka...“
Stuk-puk!.. „Otwórz!..“ Nie otworzę!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski**

LOS JASKÓŁKI.

NOWELKA SZWEDZKA

przez

Daniela Zallstrom.

«Otóż jaskółki odleciały,» powiedziała mi moja mała siostrzeniczka pewnego jesiennego poranku i miła dziecina ze smutkiem spojrzała na zawieszone na brzegu dachu gniazdko opuszczone.

Tak jest, jaskółki odleciały, aby nie powrócić aż dopiero na wiosnę, a i ja przyznać się muszę, iż żal mi prawdziwie tego ich odlotu.

Zwiastuje to nam koniec lata i nie usłyszę już tego wesołego świergotania, które na mem poddaszu tak dobrze do marzeń mnie usposabiało.

Trzeba bowiem wam wiedzieć, iż para jaskółek zbudowała sobie gniazdko przy oknie mego pokoiku, że tam wychowała swe pisklęta i że przez całą piękną porę wiosny i lata weseliła mnie swoim gwarem. Poznajomiłem się dobrze z temi miłemi ptaszkami i staliśmy się bardzo dobrymi przyjaciołmi.

Z całem zaufaniem siadały na mojem oknie. Opowiadały mi o kłopotach swego gospodarstwa i o przygodach w czasie wędrówek do cieplejszych krajów. Mowiły mi ile mają swych małych w gniazdku — słowem znałem wszystkie szczegóły ich życia i na ziemi i nad ziemią.

Ztąd też dowiedziałem się o rozmaitych wypadkach i przejściach w życiu jaskółek, a że moja siostrzeniczka jest tak zasmucona odlotem swych miłych sąsiadek, opowiadam jej tedy historyjkę, ktora przekonać może, że i ptaszki nie są wolne od zadraśnięć strzałek, co to serduszka ranią.

Na dachu starego zamku, około rynny zakończonej głową strasznego smoka, znajdowało się gniazdo i misternie i trwale zbudowane. Tam mieszkała rodzina jaskołek, składająca się z ojca, matki i dwóch córek, tak niepodobnych do siebie, iż wierzyć trudno było, iż to są siostry rodzone.

Starsza wyniosła i dumna patrzała z pogardą na wróble, które słusznie, czy niesłusznie są uważane za włóczęgów i łotrzyków ptasiego świata; druga miła i uprzejma, była ulubioną przez cały ród skrzydlaty, zawsze bowiem umiała znaleść przyjemne słowo nawet dla wrony i dla puszczyka, a co więcej umiała sobie zjednać nawet młynarskiego kota, który, gdy przechodziła zbyt blisko niego, zamykał oczy by nie dać się uwieść zanadto silnej pokusie.

Rodzice mieli jej to za złe. Szczycili się, iż pochodzą z starożytnego rodu, ktory od wieków z pokolenia w pokolenie zamieszkiwał pod sklepieniem przedsionka egipskiego pałacu. Nie pojmowali, a raczej nie chcieli pojąć, że córka ich mogła się znajomić z takim drobiazgiem jak dzierlatki i wróble.

«Nie wypada mówił ojciec, aby osoba taka jak ty zbliżała się do motłochu. powinnaś dbać o stosunki i szanować swoje stanowisko.

«Ależ tatusiu, mówiła poczciwa jaskołka, wszakżeż wszystkie ptaki podobne do siebie, przecież jednakie mają i dzioby i skrzydła.

«Zapewne, odpowiadał poważnie ojciec, lecz nie wszystkim dane karmić się pasztetami z much i zamieszkiwać na wysokościach gmachów. Spojrzyj naprzykład na skowronka.»

Na te słowa młoda ptaszyna spuściła główkę i gdyby nie czarne piórka, możnaby było zobaczyć, iż się rumieni jak młoda panienka posądzona o pewną sympatyą. Tego skowronka właśnie o którym ojciec wspomniał, kochała ona szczerze, i pradziwie przez niego była kochaną.

Z natury jaskółki to marzycielki, skowronki to poeci. Cóż więc dziwnego, iż te ptaszki do siebie zagruchać miłośnie musiały. Czyż to nie było konieczne? i czyż mieszkanie na wysokim dachu i pasztet z much na obiad, musiał ją pozbawić tego, co mogło stanowić szczęście jej całego życia?

Skowronek mieszkał pod gołem niebem i raźnie każdego dnia śpiewał. Melodye jego były żywe i wesołe, czyste jak powiew wiosny, smiejące się jak słońce po deszczu. Za swą muzykę powietrzną nie żądał on ani pieniędzy, ani orderów. Śpiewał on dla rolnika, który w pocie czoła swe pole uprawiał, dla wiejskiej kobiety, piorącej swe szmatki w potoku, dla poety błądzącego w cieniu głuchego lasu...

Śpiew jego rozumieli wszyscy, i jego kochana jaskółka rozumiała go także, gdy razem wzbijali się wysoko — bardzo wysoko.

Nareszcie jednego dnia skowronek postanowił uderzyć czołem przed rodzicami swej ukochanej i prosić jej w zamęźcie.

O kroku tym stanowczym nie myślał bez trwogi, lecz odwagi miłość mu dodała.

Ustroił się o ile potrafił, i zaczął śpiewać między wonnemi trawami na łące, gdyż nie śmiał podnieść się do lotu, nie śmiał wzbić się na szczyt tych lip wiekowych, ktore ocieniały mieszkanie rodziny szczycącej się pewną opieką samego dziedzica, który niekiedy nawet pod tym samym dachem zamieszkiwał.

Skowronek wiedział o tem wszystkiem, nie łatwe więc było jego zadanie, zawachał się na chwilę, lecz prawdziwe uczucie przemogło, zanucił śpiew tak żywy i tak wdzięczny, iż cała okolica nim zabrzmiała, a potem jednym rzutem swych bystrych skrzydełek, znalazł się przy mieszkaniu swej miłej jaskółeczki. Usiadł na dachu i znowu rozległ się śpiew doniosły.

«Czego chcesz» zawołał stary ojciec wysuwając dzób z gniazda.

Skowronek chciał mu odpowiedzieć jedną z swych szczęśliwych melodyi, lecz serce jego ścisnął żal niewypowiedziany, a głos tylko żałosne tony wydać potrafił. Śpiewał tak, jak nigdy nie śpiewał, nigdy bowiem jeszcze nie doznał cierpień pierwszej miłości.

Na dziedzińcu kogut stojąc na jednej nodze słuchał go w zadumaniu, a siedząca na sąsiedniem drzewie stara, sucha, złośliwa sroka, ironicznym śmiechem odpowiadała na te czułe westchnienia.

Tymczem skowronek zdołał nareszcie wypowiedzieć swą proźbę, i otrzymał tylko «nie» suche i gniewne.

«Ktokolwiek, mowił dumny ptak, ma córkę na wydaniu, niezawodnie za poetę wydać jej nie zechce» a zarozumiały skowronek wszak to tylko poeta, nieumiejący nic robić i który nie potrafił się postarać o takie stanowisko, jak ci ludzie, ktorzy tak dostatnio i tak spokojnie mogą próżnować na świecie. A on, nawet stosunków sobie zrobić nie umiał. Czyż więc ma przyszłość przed sobą?!..

Mieszka w polu i nie posiada nic takiego, coby domem nazwać można było. Co do jego pożywienia, to aż litość bierze — i on śmie marzyć o poślubieniu szlachetnej jaskołki. Nie, stokroć nie — tem myśleć nawet nie wolno.

Cóż bowiem to znaczy, iż jego śpiew harmonijny tak mile dźwięczy pod błękitem nieba. Niema on ani domu, ani dobrej kuchni tembardziej. Niech więc zdrów bywa.

Biedny zakochany skowronek odleciał daleko, bardzo daleko, w głębi doliny okolonej sosnowym lasem skrył się w trawie wysokiej i wspomniał sobie te godziny swej miłości, tak szczęśliwe, lecz tak krótkie niestety. Przypomniał on sobie ten dzień, w ktorym po raz pierwszy spotkał swą kochaną jaskółeczkę pod krzakiem kwitnącego głogu, przypomniał sobie te jej wdzięczne ruchy, jej miłe świergotanie i śliczną jej głowkę.

Jakiż on był szczęśliwy wtedy!

A teraz!?

Powoli wzniósł się on w powietrze, wzleciał nad wierzchołki sosen i zaczął znów śpiewać, naprzód cicho, poźniej mocniej nieco, aż nareszcie odezwał się pełnym głosem, aby wyśpiewać miłość prawdziwą, miłość zawsze młodą, miłość niezmienną, która przezwycięża wszelkie przeszkody, ktora dotrwa do grobu, a i za grobem nie umrze.

W tej chwili drogą przez dolinę przechodził młody człowiek z ładną dziewczyną, swą narzeczoną. Pod cieniem drzewa wziął ją za rękę, i na jej dziewiczych ustach złożył pierwszy pocałunek. Dalej poszli w milczeniu, lecz dziwnie rozmarzeni i niezawodnie, iż zdawało im się, że to samo myślą o czem ptaszek śpiewa.

A cóż się wtedy działo w gniaździe jaskołek. Oto gwałtowny ojciec obrzucał córkę najprzykrzejszemi wymówkami, przyczem nie zabrakło uderzeń i dziobem i pazurkami.

Matka płakała, a młoda jaskółka nie wiedziała co z sobą począć. «Nie chcę, mówił niewzruszony ojciec, raz jeszcze nie chcę, abyś myślała nawet o tem szaleństwie,, które taką ujmę nietylko rodzinie, lecz całemu rodowi przynieśćby mogło.

«O tych marzeniach zechciej łaskawie zapomnieć. Mam dla ciebie związek zupełnie odpowiedni w ptaku, którego tak dobrze znamy, a który jak wiesz ma tak piękne mieszkanie, w kościelnej wieży. Nie myśl się opierać, płacz bądź pewną do niczego nie doprowadzi. Ślub twój jutro.»

Tak się też i stało. Nastąpiła jesień. Suche liście, które tak dobitnie przekonywają o nietrwałości tego co na świecie, zasłały ziemię, przy silnym podmuchu wiatru. Brzozy swemi opuszczonemi gałęziami przypominały szkielety. Trawy na łąkach pożółkły, a wiatraki skrzypiąc swemi wielkiemi skrzydłami zdawały się mówić «tyle jeszcze mamy do zmielenia.» Słowem niewesoło to było, tak szaro, tak jednostajnie...

Jednostajnem też i niewesołem było życie jaskołki wydanej za mąż z woli ojca za mieszkańca dzwonnicy kościelnej. O swoim lubym skowronku zapomnieć nie mogła. Z wysokości swej wspaniałej wieży spoglądała tęschnie na tę dolinę, teraz tak pustą, gdzie wesoło i swobodnie kąpała się w powietrzu i latała z swym lubym.

Nie myśleć jej już o miłości, niema skowronka, a i pokrewnych jaskółek też już niema. Przyszedł czas odlotu ptaków, i wszystkie wyruszyły pod cieplejsze niebo-

Miły, kochany nasz ptaszek odlecieć nie mógł, niemądry jakiś myśliwy przestrzelił mu bowiem skrzydło. Mąż kilka dni z odlotem zaczekał, lecz choć jaskołka trochę wydobrzała i nawet podlatywać zaczęła, o dalekiej podróży i myśleć nie można było. Pożegnał ją więc i pozostawił samą w tej pysznej wieży, gdzie tak słusznie uczuła się samą i opuszczoną od całego świata.

Smutna i słaba probowała jeszcze latać, krążyła koło kościoła i spuszczała się na cmentarz, gdzie patrząc na nią grabarze z żalem mowili «biedna ptaszyna, nie pociągnie długo.»

I sprawdziło się to zupełnie. W listopadzie w dzień jasny, słoneczny, gdy szron swemi cudnemi kryształy wszystkie drzewa okrył, biedna uczuła swój bliski koniec. Zebrała jednak wszystkie swe siły, aby dolecieć do tego głogu, o którym tak żywą zachowała pamięć.

Tam pod gałązkami, ktore mróz brylantami okrył, zapomniała o tych cierpieniach jakie ją spotkały, zapomniała o mężu, ktory ją tak samą pozostawił, słowem zapomniała o wszystkiem, aby tylko myśleć o pięknych dniach wiosny i o skowronku, ktory swą miłość tak czule umiał jej wyśpiewać. Z tą myślą nasza jaskółka schowała główkę pod skrzydełko i w taki sposob zakończyło się niewesołe życie dobrej ptaszyny.

W dni kilka potem, ten, którego tak kochała, powrócił do niej. Spodziewał się, iż odleci z innemi ptakami i że ją spotka tam w cieplejszych krajach. Oczekiwania zawiodły go jednak, mimo więc chłodu poleciał, aby ją zobaczyć, pod zimnem niebem północy, pod jej ojczystem niebem.

Wszystko ma swój koniec, więc i zima się skończyła, wiosna potrafiła roztopić śniegi, zazieleniło się na świecie, a wtedy ten młody człowiek, który tak wysłuchiwał skowronka, znalazł dwa ptaszki skostniałe. Podniósł je, i serce żywo mu zabiło, przypomniał sobie bowiem to wrażenie jakiego doznał. Chciał ogrzać, chciał ożywić jaskółkę i skowronka, lecz już zapóźno było.

Jakżeż żywo przypomniał on wtedy sobie dzień ten, gdy ośmielił się raz pierwszy złożyć pocałunek na ustach swej narzeczonej, gdy ptaszek takie serdeczne nuty wywodził... A piękn były, tak jak pierwszy pocałunek jest niezawodnie najpiękniejsz chwilą w życiu.

GENEZA FARSY.

W listach udzielonych przez Pawła Schönthana

tłumaczenie z niemieckiego.

Szanowny Redaktorze!

Byłeś Pan tak grzecznym zawezwać nas — autorów komedyi „Porwanie Sabinek“ do udzielenia Mu niektórych wiadomości o powstaniu tej dramatycznej spółkowej pracy; a ponieważ historya istotnie jest niezwykłą, z przyjemnością wypełniam życzenie Pańskie.

Przypadek, bożek uprzejmy wszystkich tworzących pismaków, przy „Porwaniu Sabinek“ także godność ojca chrzestnego piastował, lecz może przytoczenie korespondencyi poprzedzającej pracę, pomiędzy mną a bratem moim, będzie najprostszym środkiem do zapoznania Pana z genezą sztuki. A więc podaję następne listy

Schandau 8 sierpnia 1883 r.

.....Tak mój drogi miałeś słuszność, nie źle mi tutaj. W jednym dniu mianowicie mam więcej spokoju niż w Wiedniu przez rok cały, a jednak i to szczęście nie jest bez cienia; ten zaś nieszczęsna, niedyskretna lista kąpielowa, która zdradziła moją obecność, weźmie sobie na sumienie.

Wczoraj odwiedziła mnie znakomita dama z Rumunii, która przebywa w Dreźnie i pisze wiersze. Resztę możesz sobie wyobrazić. Miała biały kapelusz à la Rembrand na głowie i niebieski manuskrypt w ręku, oboje zadziwiających rozmiarów. Rękopis zawierał podług przybliżonego oszacowania półtora kilo pięciomiarowych jamb; „*Porwanie Sabinek*“ najpiękniejszemi wykrętasami wypisane było fiołkowym atramentem......

„Z niepojętego powodu“ teatr nadworny w Wiedniu zwrócił rzymską tragedyą, a ponieważ poetka z Sofii przypomniała sobie łaskawie, iż w wiedeńskim miastowym teatrze, zajmuję posadę reżysera, poleciła mi swoje dziecię boleści dla naszej sceny. Napróżno usiłowałem zaręczyć jej uroczyście, że miejski teatr nie jest do podobnych przedstawień, że moje wstawiennictwo byłoby tam zupełnie bezskutecznem, nie ustąpiła ani kroku i rozbroiła mnie wreszcie straszliwym zarzutem: „Czyżeście tam nie dawali Arrii i Messaliny Spielhagena?“ — Wilbrandta, poprawiłem..... — „O! tak! zawsze tych dwóch przemieniam, więc widzisz pan.....“ I tak szło dalej przez ośmnaście minut, ekscentryczna nieco kobieta mieszała i przemieniała wszystko. W końcu oddaliła się wycisnąwszy odemnie solenne przyrzeczenie, iż manuskrypt natychmiast zacznę czytać i jutro zdanie swe o nim wypowiem.

Dotąd pisałem w błogiem mniemaniu, że tylko o przemijające naruszenie spokoju chodzić tu będzie. Tymczasem poetka pojawiła się znowu. W niebieskim piórami ubranym berecie weszła z wykrzyknikiem: „Mój rękopis!“ Nikt nie mógł prędzej wręczyć go jej odemnie. — „Czy wiesz pan co z nim zrobić zamierzam?— zawołała i zanim jeszcze moją niedomyślność mogłem wyrazić, pokazała mi numer „Drezdeńskich wiadomości“, w którym mówiono o niezdecydowanym jeszcze wyborze sztuki przy otwarciu „Niemieckiego teatru“ w Berlinie.

Wzruszona dama uważała niewinną wzmiankę jako wskazówkę nieba, i ciężki kamień zdjęła mi z piersi, gdy zawołała:

„Poruczę sztukę swoją „Niemieckiemu teatrowi“ zaraz jadę do Berlina.“ Jednym tchem wszelako prosiła mnie wobec swej nieporadności o „polecenie.“

Kobieta ta mimo wszystkiego miała taki rodzaj obejścia, iż nic jej nie można było odmówić. Ale komuż mam ją na kark rzucić bez obawy zrobienia sobie wieczystego nieprzyjaciela?! to jedynie brat bratu przebaczyć zdoła — wymieniłem jej twój adres. Znajdzie cię niezawodnie, lecz był to krok rozpaczliwy, zawsze każdy jest sobie najbliższym.

Twój
Franciszek.

Berlin 11 sierpnia 1883.

..... Pani W. ukazała się tu dziś w szkockim pstrym kapeluszu à la Niniche. Nie wiem skąd jej przyszło do głowy wziąć mnie za Wildenbrucha, który nosi większe wąsy i pisze udatne tragedye, podczas gdy ja probuję dopiero sił dramatycznych. Chwaliła mego: „Harold za Harolda“ a miała zapewne na myśli: „Ofiara za ofiarę“ Wildenbrucha i prosiła, żeby ją z L'Arronge'm wsławionym dyrektorem teatru i genialnym twórcą: „Krwawego wesela“ zapoznać.

Starałem się pilnować autorskich praw Lindnera, każdy zarzut jednak ginął nieodwołalnie w porywającym strumieniu jej wymowy. Próbowałem ją zatrwożyć i przedstawiłem jak ryzykownie jest z pierwszem dziełem przed krytykującą berlińską publiczność wystąpić. To zdawało się jej obojętnem, równocześnie przypomniała sobie, ze G. Moser swą nową sztukę: „Strzała próbna“ (nieszczęsna chciała powiedzieć „Próba strzały“ Blumentahla) w Warmbrunie na próbę wystawił. „U dyrektora Georgii“ — potwierdziłem rozweselony nadzieją, iż do Warmbrunu pojedzie. Rozważała czy może przedstawić się dyrektorowi Jacobi „Georgi“ sprostowałem bojaźliwie, ale kobieta nie może sama interesem dobrze pokierować, przeto prosiła mnie o radę, a ja nie mogłem nic innego uczynić jak przyrzec jej — twoje poparcie. Przysłałeś mi *twoją* poetkę, ja ci posyłam *moją*. Sauve qui peut!.

Paweł.

Schandau 16 sierpnia 1883.

Teraz rzecz cała zaczyna mnie bawić. Wczoraj w południe twórczyni rzymskiej komedyi w zawelonowanym podróżnym kapeluszu znowu przybyła do Schandau, pochwyciła mnie w podwórzu. Posiada ona giętkość i energią zdolną przesadzić góry. Pomyśl sobie: Ofiarowuje ponieść wszelkie koszta, jeżeliby to umożliwiło próbę jej tragedyi. Wtedy wpadło mi na myśl, że właśnie niedawno spotkałem w O... wędrowną trupę złożoną z ośmiu niezaopatrzonych członków z biedniejszym od nich dyrektorem; możnaby więc dopomódz człowiekowi.

Dziś po Table d'hote pojechałem tam z panią W. i zaraz zaznajomiłem ją z dyrektorem. Obyty w świecie biedak natychmiast pojął sytuacyą, protegowaną moją traktował z szacunkiem, na który z powodu szczodrobliwości swej ze wszech miar zasługiwała. Układy odbywały się w oberży, gdzie artyści namiot swój rozbili, a gdy cichutko opuszczałem nędzną „salę jadalną“ siedziała ona już przy nakrytym stole jak mężczyzna, otoczona ośmioma członkami, którzy w przewidywaniu zbliżających się „tłustych lat“ gęś pieczoną z sałatą ogórkową sobie zamówili. Poetka wyjęła manuskrypt z kieszeni i zaczęła dyrektorowi go odczytywać, który słuchał z niewypowiedzianie głupią lecz uszczęśliwioną twarzą. Wymknąłem się ztamtąd przez ogród. Przy bramie pani dyrektorowa z wzruszeniem uścisnęła mi rękę. O boska poezyo! jakże pocieszasz uciśnionych i orzeźwiasz — zgłodniałych!....

Franciszek.

Berlin 21 sierpnia 1883.

Przeklinam serdecznie zmniejszenie oddalenia zapomocą kolei żelaznych! Pani W. jest znowu w Berlinie; od przedstawienia w O... nabrała lepszej otuchy. Lecz cóż ta kobieta żąda odemnie! Mam skłonić jeneralnego intendanta Hülsena, żeby do O. „pojechał.“ Tam „Porwanie Sabinek“ przedstawiają z coraz większą doskonałością. Pierwszy akt był dziesięć razy powtarzany z „Rekwizytami“. Jest to ten akt, mianowicie, w którym odbywa się uczta u króla Tytusa Tacyusza. Wszystko kosztem autorki. Nadaremnie starałem się wstręt jego Ekscellencyi pana von Hülsen przedstawić jako nieprzezwyciężoną przeszkodę, napróżno wymawiałem się od współudziału wszelkiemi sposobami, nic nie pomogło! Wreszcie intendenta wybiła sobie z głowy, „ale Wilbrandt i Laube muszą być przy tem“, zagroziła; jeśli ją dobrze zrozumiałem chce Tytusa Tacyusa Wilbrandtowi pokazać! Gdy nic ważnego nie zajdzie, jutro około dziewiątej wieczorem znowu w Schandau się zjawi, gdzie będzie prosić cię usilnie o przywiezienie do O... Laubego i Wilbrandta. Uważa to jako niezbędne następstwo twych starań poprzednich o próbę tragedyi. Boże! jakiż ta kobieta dzisiaj znowu miała kapelusz!

Paweł.

TELEGRAM z Schandau.

W tej chwili odebrałem twój list i szukam ocalenia w ucieczce. Wsiadam na najbliższy kurjerski pociąg idący do Wiednia.

Franciszek.

KARTA KORESPONDENCYJNA.

Wiedeń — Sobota rano.

W tej chwili przybyłem szczęśliwie. W nocy przyszedł mi doskonały pomysł, całą tę historyą z panią W. i jej rzymską tragedyą zużytkować. Jest to wyborny materyał do komedyi. Siadam jutro i zobaczę co da się z tego zrobić.

Franciszek.

KARTA KORESPONDENCYJNA.

Berlin — Sobota rano.

Ta Rumunka z swem „Porwaniem Sabinek“ poddała mi myśl napisania wesołej sztuczki z przytoczeniem komicznych ustępów z rzeczywistości. Dziś zabiorę się do roboty.

Paweł.

TELEGRAM.

Berlin — Niedziela rano.

Nasze karty się rozminęły — pomysły spotkały. Zostawiam ci pierwszeństwo i ustępuję.

Paweł.

TELEGRAM.

Wiedeń — Niedziela wieczór.

Ani myśl o tem — piszemy sztukę razem. Tytuł: *„Porwanie Sabinek.“*

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Gościnne występy p. H. Modrzejewskiej. — Chata za wsią.

W pobieżnej wzmiance zeszłej kroniki sprawozdawczej ogólnikowo zaznaczyliśmy, że gościnne występy p. Modrzejewskiej niezwykłe obudziły zainteresowanie wśród naszej publiczności. Rozszerzając tę naszą uwagę przyznać musimy, iż ten dowód zajęcia się teatrem jest zarazem jednym więcej jak publiczność spragnioną .jest podniosłych wrażeń i dobrej gry; ostatnie występy p. M. dostarczyły zadowolenia przeważnie w drugim względzie. Nie czynimy w słowach tych zarzutu repertuarowi artystki, ale przyznać musimy, iż z pośród pięciu sztuk jakie widzieliśmy, jedna *Marya Stuart* prawdziwym jest klejnotem w skarbcu arcydzieł dramatycznych, i dwie komedye Szekspira: *Dama kameliowa* i *Adrjanna* zająć muszą stanowisko drugorzędne przy Szyllerowskiej tragedyi. Ale p. Modrzejewska stara się przeważnie o dobór sztuk takich, które przedstawiłyby jej twórczość artystyczną w rozmaitych kierunkach, aby widz był przekonanym, że po pełnej grozy i siły *Maryi*, ujrzy figlarną *Rozalinę* lub sentymentalną *Violę*, wreszcie zawiedzioną w miłości *Adriannę* czy też lekką i pokutującą za swe winy *Małgorzatę Gauthier*. Ztąd to w przeciągu dwóch niespełna tygodni przed oczyma naszemi przesunął się jak w kalejdoskopie szereg heroin od naiwnego dziewczęcia począwszy na Magdalenie pokutującej skończywszy; p. Modrzejewską z taką różnobarwnością charakterów igra bez obawy, wiedząc, że posiada nadto środków, aby się ustrzedz w grze jednolitości. A jednak jest pewien wspólny rys we wszystkich kreacyach artystki, który łączy te wszystkie ogniwa wielkiego łańcucha sławy! To refleksya. Czy to jako zgnębiona a dumna królowa Szkocyi, czy jako wcielenie zakulisowego idealizmu (Adryanna), czy wreszcie do szału w miłości dochodząca Gauthier. — p. Modrzejewska tu i tam, poza tysiącznemi odcieniami w charakterze, bohaterkom swoim podsuwa indywidualność swego temperamentu scenicznego — refleksyjność, w czem staje jako przeciwieństwo swej znakomitej współzawodniczki — Sary Bernhardt. Z tego powodu Adrianna w pojęciu p. M. ma w sobie więcej pierwiastku idealnego, ztąd Małgorzata Gauthier w pierwszych scenach jest *damą kameliową* ledwie z nazwy, a dopiero powściągająca się w wybuchach gniewu rola Maryi Stuart, dzięki pierwiastkowi refleksyjnemu w grze p. M. staje się prawdziwą mozajką z uczuć w jej sercu walczących.

Z repertuaru artystki trzy jedynie sztuki były dla publiczności krakowskiej nowościami: *Dama kameliowa* Dumasa młodszego i dwie komedye Szekspira. Pięcioaktowy dramat Dumasa spóźnił się do Krakowa o całe lat dziesięć co najmniej, zna go bowiem cała Europa chyba, dzięki tendencyi, która przestała już być nowością i tytułowej roli, która jest popisowem polem artystek dram. Przypominać, że w przerobionym z powieści dramacie francuzki autor poruszył kwestyą rehabilitacyi upadłych kobiet przez miłość byłoby rzeczą spóźnioną, skoro większość zna treść bądź z powieści, bądź wreszcie z opery (Traviata). Losy kobiety lekkiego życia, która spotkawszy na życiowej ścieżce uczciwego młodzieńca, Armanda Duval, prawdziwie się w nim rozmiłowywa, wreszcie niemożebność wejścia tej kobiety do uczciwej rodziny Duvalów, jej zerwanie z kochankiem i śmierć — to główne momenta sztuki, napisanej z francuską lekkością i zręcznością budowy. Temat, który Dumas w swej sztuce porusza nie jest nowością, boż i *Marion Delorme* W. Hugo także miała się przez miłość odrodzić, wreszcie w najnowszej dobie swem wymownem piórem poruszał tę kwestyą E. Pailleron w „Niby małżeństwach.“ Wszystkie te próby rehabilitacyi wypadają na niekorzyść bronionych, bo one umierają (Małgorzata) na progu domowego ogniska, albo się z niego cofają na widok majestatu rodzinnego życia. *(Niby małżeństwa)*.

Nasze wstępne uwagi o grze p. M. w pojęciu roli Małgorzaty (zmienionej na Maryę) znajdują zastosowanie. Nie jako kobietę pełną ognia i rozkosznej swawoli, lecz jako trochę marzycielską, a trochę ledwie zepsutą dziewczynę pojęła ją p. M. i z nieubłaganą konsekwencyą wszystkie psycholiczne motywa tej postaci widzowi ukazała aż do sceny konania, w której szlachetne efekta idą o lepsze z realizmem. Gauthier w przedstawieniu p. Modrzejewskiej tak jest sympatyczną, ujmującą i powabną, a nadewszystko dobrą, w jej poprawę tak widz wierzy, że łatwo zapomina o jej przeszłości. Taka interpretacja roli ogromnie pomaga autorowi — sympatya widza postępuje za rozwojem akcyi a to dla pożądanej tendencyi wiele. Kto, wykluczając pewne szczególne rysy tej słynnej w świecie paryzkim „damy z kamelją“ nie chce w niej widzieć handlarki wdzięków a tylko istotę dodatnią, ten w kreacyi p. M. znalazł odzwierciedlenie swego pojęcia o tej roli. Zupełnie to samo dałoby się powiedzieć o roli Adrianny. I tu aktorka jest nawskroś idealną istotą, kocha jak pensyonarka, wierzy jak nie kobieta (ładnie deklamuje i dobrze się gniewa); zupełnie nie zdradza, że ociera się w świecie zakulisowym, co już wystarcza do pozbycia się idealnych na świat poglądów i łatwowierności a do pewnej namiętności nabrania pewnego ognia. Wszak to świat, gdzie wszystko żyje gorączkowo, i puls i serce szybciej biją, a i realizm rumieni się za swą prostotę. Ale taka Adrjanna nie deklamowałaby tak pięknie bajki „o gołębiach“, w głosie jej nie byłoby tej może miękkości, jaka brzmi w zaklęciach miłosnych Maurycemu czynionych, więc i tu przyjmujemy to pominięcie prawdy na korzyść idealnego pierwiastku w sztuce. Nie miałaby może prawa z takiem przekonaniem wyrzutów czynić Adrjanna tym „którym hańba nie rumieni czoła“ gdyby sama nie miała wszelkich cech skromnej i czystej gołębicy, której klatką świat zakulisowy. Skoro się nadmieniło o wprowadzeniu tego szlachetnego nastroju do każdej roli, nastroju, który szatą idealnego piękna zakrywa prawdziwe nieraz plamy realizmu, który ze szkodą prawdy kryje pod różową oponą to, co widziećby można bez zgorszenia, toż i to się godzi zauważyć, że rola będąca koroną w królewskim repertuarze artystki, *Marya Stuart* z takich właśnie składa się pierwiastków, to też gra p. M. nie potrzebująca osłaniać tego, czego indywidualizm artystki ukazać nie chce, wolne miała pole do idealizowania uszlachetnionej przez Szyllera postaci. Zgodnie z duchem oryginału pojąwszy i w charakterze swego talentu mając czynniki do podniesienia tej strony kreacyi, artystka w postać Maryi Stuart wlała wszystkie cechy które by nieszczęśliwej królowej szkockiej zapewniły sympatją i współczucie widza. A tę zapewnia też artystka *Rozalinie* w komedyi Szekspira *„Jak się wam podoba?“*, sztuce, którą jeden z komentatorów Szekspira nazywa „potrawą dla smakoszów.“

Słusznie. Jest w tej sielance coś, co nęci i przyciąga a nieomal wierzyć nie pozwala, że pisało ją pióro, co stworzyło Hamleta, Leara lub Otella; żeby dobrze się wsłuchać w tę komedyę potrzeba oderwać na chwilę myśl od hałaśliwego świata, jego intryg i podłości i uwierzyć, że jest jakaś miejscowość błogosławiona, (niech się ona lasem Ardeńskim nazywa), jakaś głusza leśna, gdzie okrom śpiewu ptasząt zbliska i beczenia kóz zdaleka mało co słychać, że tu prawie nikt nie chodzi, chyba jakaś figlarna, kochająca dziewka, co aż przebrać się za chłopca potrzebowała, aby odnaleść kochanka, lub książę z władzy i ziemi przez złego brata wyzuty, lub nakoniec para pasterzy, w której on kocha się a ona nie, w której on błaga o wzajemność, a ona się śmieje z szaleńca i słodkie robi minki do przebranej za chłopca Rozalinki; komu podobny widok uprzytomni się przed oczyma, ten może razem z aktorami podążyć w głąb lasu Ardeńskiego, spotkać się z którą z wymienionych postaci, albo nawet z wesołym błaznem, Probierczykiem lub z poważnym i wiecznie filozofującym Jakóbem i wreszcie „piękne panie w imię miłości dla mężczyzn“ dadzą „poklask wszystkiemu, co się im w sztuce podoba“, a mężczyźni „w imię miłości dla kobiet“ dadzą „poklask temu czemu nie przyklasnęły kobiety“. Oczywiście, z tego wezwania do oklasków, które Szekspir w epilogu komedyi umieścił większa część (i damskich i męskich) spadłaby na Rozalinę — to na pół wesołe, na pół uczuciowe a zawsze sympatyczne i ruchliwe dziewczątko, które tyle broi figlów, ile ich się zmieścić może w specyalnie na ten cel przykrojonej roli. P. M. wyzyskała wszystkie psoty Rozaliny, łącząc humor z lekkością i pozorną powagę z prawdziwem uczuciem, a w końcu aktu 4-go kiedy zwodzi Orlanda płaczem istną wirtuozką się okazała w sztuce udawania pozornego płaczu i przejścia w śmiech, a wykonaniem całości zasłużyła na tę najwyższą pochwałę, jaką komentator daje w słowach: „artyści, którzyby dla pieszczonych podniebień pojęli się przyrządzić (sztukę), musieliby stać na wysokości tej poezyi, która nie dla wszystkich jest dostępną.“ W istocie, w dalszym ciągu powołamy się na tę niedostępność poezyi „dla wszystkich“ a teraz z kolei, po za wdzięcznością za wprowadzenie innej komedyi Szekspira: *Co chcecie, czyli Wieczór trzech króli*, musimy wyznać, iż znacznem jest poświęceniem artystki, skoro się decyduje wprowadzić sztukę, w której rola jej mieści dwa razy tyle subtelnych odcieni, ile ich połowa już jest niedostępną dla ogółu widzów. Wprawdzie Viola ze swoją miłością, przebraniem za chłopca i sprytem jest jedną z najsympatyczniejszych osób w sztuce, jednak zarówno Tobiasz Czkawka, jak Andrzej Czerwonogębski (w układzie scen. p. Modrzejewskiej nazwany Chudogębą) jak wreszcie przepyszny Malwolio odciągają widza od romantycznej części komedyi, przykuwając jego uwagę humorem i wesołością do komicznej. Bo ta komedya Szekspira ma prawie wyłącznie na celu rozbawienie widza. Romans jest tu ledwie osią, koło której tyle owija się kół, ile ich w pięciu aktach zmieścić się może.

Zresztą główne z pozoru postacie: księcia miłującego Oliwią, samej Oliwii, nakoniec Violi, która jako paź księcia, posłana w poselstwie miłosnem w istotnym zdaje się być ambarasie, mówiąc: „poselstwu temu jak trudno mi sprostać, gdy sama pragnę żoną jego zostać“, usuwają się na drugi plan w obec komicznych wybuchów miłości Malwolia dla Oliwii, odważnych przedsiewzięć Chudogęby i filozofowań błazna. Wszystko, co się na scenie dzieje w czasie 5-ciu aktów niema pretensyi do powagi lub moralizatorstwa.

W wieczór trzech króli, który obchodzono w Anglii uroczyście, dzieją się na dworze księcia i Oliwii rzeczy, które każdego rozbawić mogą; cel zabawy wysuwa się naprzód. Zakochani snują się niby cienie wśród hulaszczych biesiad Czkawki, nie kłopocąc się nawet wiele o pomyślne rozwiązanie:

„Czas niech wypadków rozwikła bieg smutny
„Bo dla mnie węzeł to za bałamutny

powiada Viola. Pani Modrzejewska przyjąwszy na siebie zaszczytny ciężar ukazania publiczności zasobu subtelnych odcieni gry w lekkim tonie trzymanej, w sztuce, która nie usposabia do śledzenia delikatnych szczegółów, liczyła, że wyprowadzi postać Violi na pierwszy plan i zniewoli widzów do zwrócenia na ten sympatyczny typ uwagi, nie omyliła się, a żegnająca w tej roli p. M. publiczność krakowska ze zdumieniem patrzyła na ten potężniejący artyzm w grze znakomitej artystki.

Ogólnikowo zaznaczając, że dochód swój z dwóch ostatnich przedstawień p. M. przeznaczyła na budowę nowego teatru w Krakowie, że artystce czyniono wiele owacyj przy pożegnaniu, że wyrażamy pobożne życzenie, aby występy gościnne wywarły wpływ na naszą drużynę aktorską; przyznać musimy, iż w przedstawieniu wszystkich sztuk czuć było staranność i troskliwość kierownictwa teatru, a także wiele pracy ze strony artystów. Szczupłość miejsca nie pozwala na długie pochwały dla p. Stępowskiego za rolę Michoneta (Adrianna), którą grał artysta z talentem i pracowitością; dlatego też powodu nie piszemy więcej o p. Sobiesławie, który Armanda Duval grał z takiem zrozumieniem i artystycznem wykończeniem, jakie przynosi zaszczyt artyście. P. Frenkiel jako Czkawka złożył jeden dowód więcej jak jest zdolnym, sumiennym i pracowitym. To samo trzeba powiedzieć o p. Arwinie (Malwolio) i p. Podwyszyńskim (Jakób). Pp. Feldman i Solski z lekką -zarżą traktowali swe role. Z pośród kobiet pierwszeństwo należy się p. Wojnowskiej za Prudencyą (Dama kameliowa) a także niemałe pochwały p. Sułkowskiej za pracowitą rolę księżnej de Bouillon (Adrianna) i p. Pysznik za Celię (Jak się wam podoba), którą to niewielką rolkę p. P. okrasiła sporą dozą wdzięku i humoru.

I młode siły, wedle możności, dokładały ręki do podtrzymania całości, a chociaż, „poezya nie dla wszystkich jest dostępną“ jednak zdołała p. Koźmin naturalnością wypełnić postać pasterki Febe. Nie mógł tego przyznać sobie p. Zapałowicz (Orlando) ani p. Wójcicka (Odrej).

Jeszcze nie umilkły echa oklasków, któremi żegnano p. Modrzejewską, a już publiczność tłumnie się zebrała dla wysłuchania oryginalnej. cztuki, która pojawiła się na scenie, poprzedzona opinią powodzeń warszawskich firmą autorów. A liczba ich wynosi aż czterech. Kraszewski opowiedział dzieje miłosne pewnej pary ludzi, Tumrego i Motruny, którzy mieszkając w „chacie za wsią“ przechodzili biedę i niedostatek, cierpiąc za winy niepopełnione, bo za to jedynie, że cyganie nie pozwalali Tumremu, swemu współplemieńcowi szaleć za „białą gadzią“ a gromada wiejska miotała przekleństwa na Motrunę, że za cygana poszła. Ale kto nie zna tej powieści, kto nie pamięta tych nieco sentymentalnych chłopów ukraińskich i tej szatańskiej Azy, co jak widmo nieszczęścia staje u progu chatki za wsią i tego głupiego Janka co jest przez pół filozofem, przez pół filantropem dla opuszczonych mieszkańców chaty? Każdy dobrze pamięta te postacie, których losy opłakiwał w skrytości. Pani Mellerowa i p. Galasiewicz zabrali się do stolarskiej roboty i „Chatę“ przerobili na dramat ludowy. Pracy tej przygrywał p. Noskowski i całość złożyła się efektowna, tylko trochę za bardzo po ciesielsku wzięto się do tej roboty. Ponsuwano wiele wiązań i belek, które podtrzymywały budowę powieściowej chaty, a bez których sceniczny budynek chwiał się nieco. Pominięto np. ważny szczegół, bo postać Adama, dziedzica, która w sztuce miałaby duże znaczenie, jeżeli bowiem chłopi mimo protekcyi dworu odmawiają Tumremu i Motrunie pomocy, to ich ta niezależność mogłaby być silniej zaakcentowaną. I wiele, wiele innych poczyniono usterek jak np. przedłużenie śmierci Leptuka, jak przeładowanie aktu II. akcyą z pokrzywdzeniem innych itd. Natomiast do dodatnich stron należy postać Janka wykrojona z powieści umiejętnie i piękna muzyka, której detaliczną ocenę podaje nasz specyalny sprawozdawca. Co do wykonawców to p. Rygier w roli Tumrego szczęśliwie uniknął sentymentalizmu. P. Sułkowska prostotą ujmowała w roli Motruny. P. n. Kałużyńska nadmiernem używaniem wysokich tonów w głosie psuła wrażenie. Szkoda, bo rola nadaje się do wyzyskania. Inni wykonawcy z korzyścią dla całości pracowali, z p. Zapałowiczem na czele, jego głupi Janko“ dał możność ocenienia rzeczywistych zdolności artysty. P. Frenkiel do repertuaru swoich ról ludowych dodał charakterystyczną postać kuma. P. Feldman był śmiesznym kajtusiem. Urządzenie dekoracyi i wogóle strona zewnętrzna sztuki była staranną.

Nemo.

Ruch muzyczny.

I.

Koncert pp. Bulewskich. „Chata za wsią“ Noskowskiego.

Czas przedświąteczny nie jest bardzo korzystnym dla koncertów, dlatego też w miesiącu grudniu mieliśmy w Krakowie zaledwie dwie produkcye muzyczne, a mianowicie: drugi koncert panien Bulewskich, dany dnia 3 i wieczorek krakowskiego Towarzystwa muzycznego, który się odbył 15 grudnia. O pierwszym koncercie sióstr Bulewskich pisaliśmy już w przedostatnim numerze „Przeglądu“; o drugim chyba dodamy, iż szczególniej co się tyczy panny Jadwigi (wiolistki) to celuje ona w utworach, które nie wymagają wielkiej siły, lub szerokiego traktowania, lecz w kompozycyach drobniejszych, w których właściwy grze jej wdzięk, elegancya i dobre prowadzenie smyczka ujmuje słuchaczów. Koncertantki przyjmowano u nas i tym razem nader sympatycznie. Część dochodu z tego koncertu przeznaczyły artystki na cel dobroczynny, za co im się też należy szczere uznanie.

Podczas świąt wystawiono w teatrze krakowskim obraz sceniczny w 5 aktach p. t. „Chata za wsią“ napisany przez Zofię Mellerową i J. K. Galasiewicza, rzecz wzięta ze znanej a pięknej powieści Kraszewskiego nadającej się tak do obrazku scenicznego, jakoteż i do muzyki. Muzykę do tej sztuki osnutej na tle życia cyganów na Wołyniu pociągającej oryginalnym swym kolorytem każdą bujniejszą wyobraźnię, napisał dyrektor warszawskiego Towarzystwa muzycznego p. Zygmunt Noskowski. Utalentowany a pracowity ten kompozytor napisał z dzieł znaczniejszych, z kompozycyj fortepianowych: Krakowiaki na 2 ręce, sześć krakowiaków na 4 ręce i kwartet fortepianowy (D-mol); z muzyki komnatowej: dwa kwartety smyczkowe, waryacye na temat własny, i dwie symfonie, uwerturę „Morskie oko“, marsz uroczysty i waryacye na orkiestrę. Prócz wielu utworów wokalnych napisał Noskowski muzykę do dramatu ludowego w 4-ech aktach „Wiara, miłość nadzieja“ do „Wieczornic“ w 4 aktach i do „Chaty za wsią“.

Muzyka do tej ostatniej sztuki, w której wiele dramatycznego spoczywa pierwiastku w treści samej w losie i miłości cygana Tumrego i Motruny jakoteż i miłości cyganki Azy do Tumrego — nosi wszystkie główne cechy pracy Noskowskiego t. j. piękną fakturę, oryginalną melodyę, tematyczne opracowanie, wielką wprawę techniczną, pewność siebie w użyciu środków i głęboką wiedzę kontrapunktyczną.

Instrumentacya jego jest nader świetną, szczególniej pod względem kolorytu i dowodzącą o zupełnem zawładnięciu formą przez kompozytora. Wartość tego dramatu ludowego podnosi wysoce ładna muzyka Noskowskiego, splatająca się z sztuką tą niejako w jedną nierozerwalną całość. Wiele obrazów i scen w „Chacie za wsią“ melodramatyzował on, podnosząc tym sposobem nastrój sztuki i wiążąc oddzielne akta przy pomocy międzyaktowej przygrywki w okrągłą całość. Całość ta niema i nie może mieć charakteru muzyki ludowej, gdyż przychodzą tu marsze i chóry cygańskie wprost naszej ludowej muzyce przeciwne. Kontrasty te stale są dobrze uchwycone, a różnice typowe są charakterystycznie oddane. Mamy tu w tej wiązance prócz uwertury kilkanaście numerów tak do śpiewu, jak i melodramatycznych i tanecznych. Szczególniej ładne są tańce cygańskie i kołomyjka braci Rusinów i śpiew solowy Urbana (akt I.). Wykonanie było w ogólności dobre; tak w śpiewach solowych, jak i w chórach, mniej zadawalniającem było tylko w orkiestrze, lecz i te braki z czasem dadzą się usunąć.

Maurycy Sieber.

II.

(Dwa wieczory Towarzystwa muzycznego w Krakowie, 1-szy wieczorek kwartetowy).

Oprócz ładnego i urozmaiconego programu, przyniosły nam afisze listopadowego wieczoru Tow. muzycznego, także wiadomość bardzo pożądaną i miłą, że młody wiolonczelista p. J. Adamowski należy do składu nauczycieli i wirtuozów tutejszego Tow. Jak trudno o dobrego wiolonczelistę widać z tego, że pomimo rozpisanych konkursów i usilnych zabiegów, dotąd nie miało nasze Tow. odpowiedniego artysty:—aby pozyskać tak znakomitą siłę jaka jest p. Adamowski, trzeba rzeczywiście mieć szczęście wyjątkowe, gdyż takiego artysty pozazdrościć nam mogą Lwów i Warszawa. Działalność p. A. uczuliśmy już w wykonanych kwartetach smyczkowych, gdyż z taką precyzyą i finezyą, z takiem wykończeniem i cieniowaniem dotąd te utwory u nas wykonywanemi nie bywały. Jeśli p. A. okaże się takim nauczycielem jakim jest solistą i informatorem w ensamble, (o czem nie wątpimy) to powinszować Towarzystwu i przyszłej szkole muzycznej, której zarząd zapewne starać się

będzie o pozyskanie dla grona swych nauczycieli pana A. Wieczór listopadowy wypadł pod każdym względem bardzo dobrze, ale o wieczorze grudniowym tego powiedzieć nie możemy, z wyjątkiem kwartetu smyczkowego Mozarta. Pianistka popisująca się na tym wieczorze, nader niefortunnie zaprezentowała szkołę fortepianu konserwatoryum wiedeńskiego. „Hymn za zmarłych“ dość poprawnie wykonany przez uczni pana Niedzielskiego, — pod względem kompozycji nie szczególnie zachwycił żywych. Chór męzki... nieszczęsny chór męzki! był on i jest najsłabszą stroną prawie wszystkich Towarzystw muzycznych polskich, i będzie tak długo, dopóki szkoły nasze ludowe i średnie nie staną na równi ze szkołami za granicą, gdzie chłopak kończąc klasy szkoły ludowej czyta doskonale nuty głosem, czyli jest skończonym śpiewakiem chóru. Dzisiejsza młodzież nieumiejąca śpiewać z nut, bo jej nie nauczono, z braku nauczycieli fachowych, niema tego zamiłowania, ani tej przyjemności w śpiewie zbiorowym, jak to ma miejsce za granicą. Wskutek tego liczba śpiewaków jest nader szczupła, a jeźli jeszcze część pewna wyjedzie na ferye świąteczne, zostaje garstka 14 lub 15 do wykonania, jak to miało miejsce na ostatnim wieczorze. Naturalnie z tak szczupłemi siłami nie można porywać się na większe i trudniejsze utwory, lecz trzeba zbywać numera choralne takiemi bagatelkami jaką jest Świerk itp.

W końcu pozostaje nam pochwalić innowacją tj. wprowadzenie wieczorów kwartetowych, na których wykonywać się ma tylko muzyka poważna i klasyczna. Pierwszy taki wieczorek, który się odbył w sali Tow. w połowie grudnia, zrobił nader miłe wrażenie na słuchaczach. Naprzód z tego powodu, że miał on cechę więcej familijnego zebrania, potem w mniejszej sali brzmi kwartet smyczkowy daleko lepiej jak w sali wielkiej, gdzie instrumenta tracą na jędrności i sile. Trio Schuberta (pp. Singer, Adamowski i Bylicki), Etuda koncertowa na fortepian (p. Bylicki), a nakoniec kwartet Mozarta wypełniły program tego wieczorku, a wykonanie nie pozostawiło nic do życzenia.

Q.

RUINY.

(Myśl i forma z Kuglera.)

Nad błękitnej rzeki brzegiem
Sterczy zwalisk zamku mur —
Runął sklepień łuk po latach
I wiatr hula po komnatach,
Przepędzając — szmaty chmur...

Ród pancernych zgasł rycerzy —
Ucichł scen wojennych gwar...
Dziś gdy spojrzysz w głąb zamczyska
Na okryte mchem zwaliska
Inny cię upaja czar...

Sliczna postać — jak marzenie
Wzrok z uśmiechem na dół śle...
Więc patrz w górę — gdzie skał szczyty,
W twarz jej jasną — w ócz błękity,
Co jak gwiazdy świecą w mgle!..

Gaśnie słońce — czas upływa,
Więc przechodniu dalej dąż!
Rozjaśń czoło w dniu rozstania:
Z ruin w chwili pożegnania
Biała chustka — wieje wciąż!..

Zwiniacz w Grudniu 1884.

Edmund Rossowski.

Od Redakcji.

Nieregularnemu wychodzeniu Nrów »Przeglądu», spowodowanemu niezależnemi od wydawcy okolicznościami, a w ostatnich czasach chorobą redaktora, będziemy starali się w bieżącym kwartale stanowczo zaradzić. W tym celu wydamy w miesiącu Lutym dwa podwójne Nra, ażeby już w Marcu »Przegląd« zaczął ukazywać się we właściwych terminach.

Zamiast rysunków autografowanych rozpoczniemy dodawać fotodruki, co wprawdzie zwiększy koszta wydawnictwa, ale wynagrodzi poniekąd prenumeratorom zawód, jakiego z powodu opóźniania się »Przeglądu« doznawali.

Z przyszłym Nrem rozpoczynamy czwarty rok naszego wydawnictwa. W naszych błogosławionych stosunkach krakowsko-galicyjskich, przy apatji do czytania, a więcej jeszcze wobec przyzwyczajenia się do czytania z a d a r m o po kasynach, kawiarniach i restauracjach — jest rzeczą prawie trudną do uwierzenia, iż pismo literackie i do tego pismo niezaciągające się w służbę ludzi lub stronnictw, a więc niesubwencjowane i na własnych tylko oparte siłach, przez tak długi przeciąg czasu utrzymać się mogło i jeszcze dalej iść pragnie z wiarą w przełamanie obojętności. Zachęca nas do tego głównie ta garstka przyjaciół pisma, która zawsze mu wierną była, bo umiała ocenić naszą skromną pracę i uznając wyjątkowe nasze stosunki literackie i wydawnicze nie wymagała od »Przeglądu«, aby ceną i doborem artykułów mógł rywalizować z tak rozpowszechnionemi u nas pismami niemieckiemi.

Wspominamy tu o tem, bo niejednokrotnie nam mówiono: »za te pieniądze mamy dwa razy więcej do czytania w pismach niemieckich«. Prawda zupełna, ale takie słowa dyktować może tylko nieznajomość stosunków i obojętność dla własnej literatury. Dzięki takiemu rozumowaniu jeszcze dziś w Galicji pisma polskie nie zyskały sobie takiego prawa obywatelstwa, jakie posiadają pisma niemieckie.....

Ale skargi zostawmy na boku—a tymczasem złóżmy dzięki przyjaciołom pisma za poparcie, pożegnajmy rok stary, a rozpocznijmy rok nowy życzeniem, a b y n a m w s z y s t k i m i w e w s z y s t k i e m l e p i e j s i ę d z i a ł o.

Kraków dnia 29 Stycznia 1885.

Redakcja.